

**KRÓL WĘGIEL
KRÓLOWA BENZYNA**

Jerzy Dostatni str. 3

PIERWSZE WYBORY

**Ireneusz Caban
Edward Machocki str. 4**

**WIKING
POSZUKUJE ŻONY**

Henryk Maka str. 10

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Hamleja

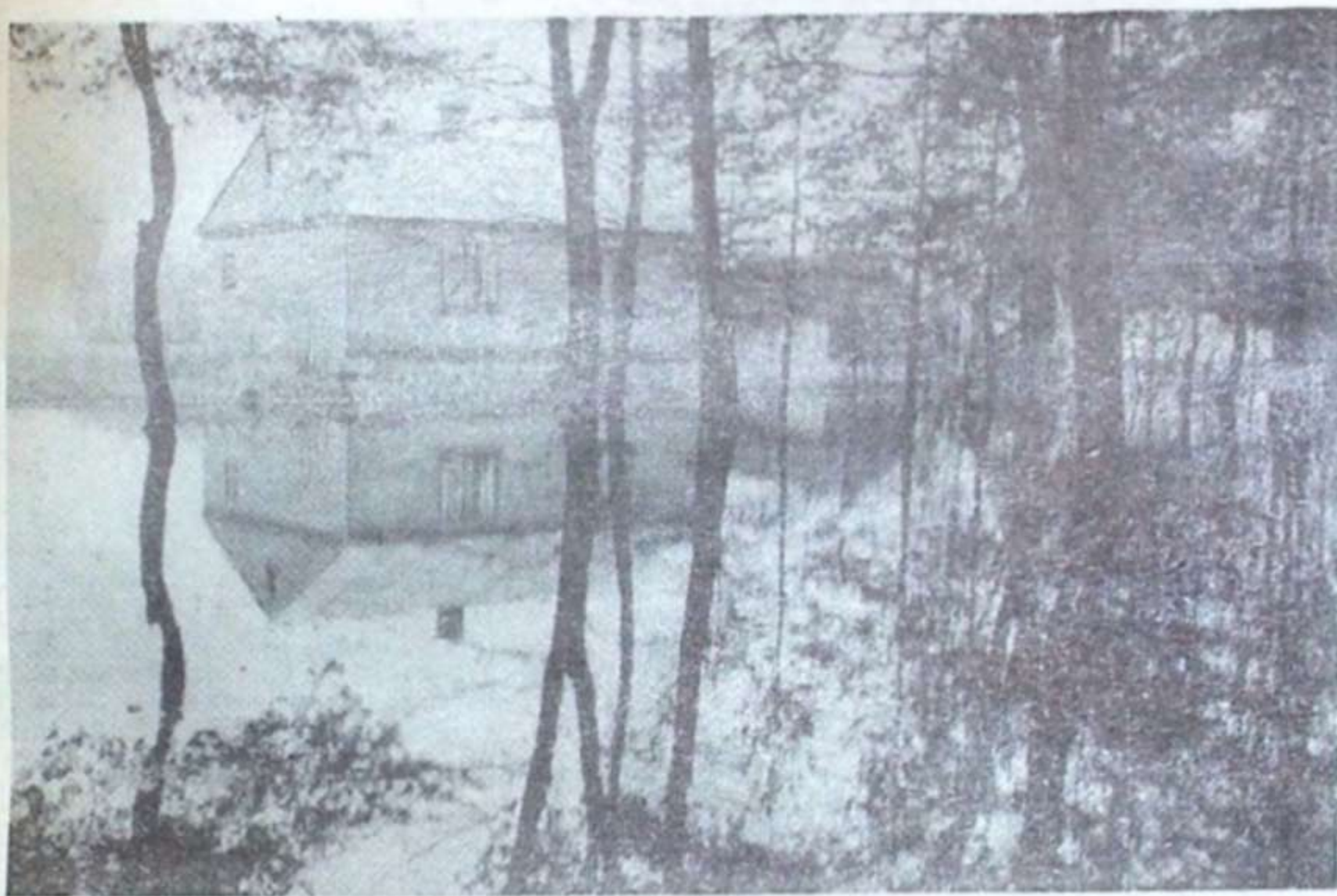
LUBLIŃ 1 XII 1974 Nr 24 (562)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

POTOP

Maciej Podgórski



Fot. J. Mirosław

NIESZCZĘŚCIE tegorocznej powodzi na terenach nadbużańskich nie polega na tym, że ona w ogóle jest. Bo tutaj ludzie przywykli do tego. Takie choćby Baję, Ładyny i Patochy to przysiółki rok w rok zalewane przez wodę. Bodaż czy jeszcze nie w XIX wieku na terenie Moście, Nowosiółek, Sławatycz zostali osiedleni Holendrzy dla zagospodarowania bagnistych i podmokłych gruntów w dolinie Bugu. Potomkowie holenderskich osadników, całkowicie spolonizo-

wani oczywiście, żyją dotąd na tych ziemiach. Niejeden starzec potrafi jeszcze przewieźć rybacką łódką konia na stojąco i nie przywiązanego. Sztuka ponoć nie lada. Chłopi potrafią budować w stajniach i oborach wysokie rusztowania, na które wprowadzają konie i krowy, gdy woda zajrzy do zabudowań. Lud tutaj twardy i z wodą obznajmiony.

Dokończenie na str. 8-9

Światowe niepokoje w Kazimierzu Dolnym

Mieczysław Kurzątkowski

SEMINARIUM pod hasłem „Passé et Présent”, toczące się w Domu Architekta w dniach 17-19 października, było jakby nieobecne w Kazimierzu. Nieustająca szaruga, zacinająca deszczem i obsypująca rynek pozóklymi liśćmi, sprzyjała izolacji. Gdy gaszona światło, nieprzytulna sala konferencyjna odpływała w słoneczne perspektywy placów i ulic wielkich metropolii, miast nadbałtyckich, miasteczek bałkańskich, szkockich osad rybackich. Ilustrując swe wypowiedzi przeżroczami, architektki i konserwatorzy Europy — od Związku Radzieckiego po Włochy i Hiszpanię, od Skandynawii po Balkany — próbowali określić zasady i metody, jakie powinny kierować dzisiejszą działalnością w starych dzielnicach miast. Udział przedstawicieli ZSRR i USA nadawał problemowi wymiar światowy.

Wprawdzie najwięcej mówiło się o nowej architekturze na obszarach starej zabudowy, lecz zgodnie z oficjalnym jego tytułem „Intégration d'éléments contemporains dans les ensembles anciens” chodziło również i o inne sprawy, jak komunikacja, strefy ruchu pieszego, pielęgnacja nastroju właściwego danemu miastu.

Odczucie wspólnoty problemu jest wrażeniem dominującym wśród refleksji wyniesionych z obrad.

Dokończenie na str. 8-9

ARTYKUŁ mój nie rości sobie pretensji do miana historii, ani bilansu osiągnięć Uniwersytetu MCS, a tym bardziej nie jest on próbą wartościowania dorobku czy rangi wyrosłych z niego, jako pnia macierzystego, trzech bratnich uczelni: Akademii Medycznej, Akademii Rolniczej, a poniekąd i Wyższej Szkoły Inżynierskiej, które wraz z prywatną uczelnią KUL-em składają się na Lubelski Ośrodek Naukowy, liczący ponad 25 tysięcy studentów. Klamrą spinającą wszystkie te uczelnie jest Lubelskie Towarzystwo Naukowe.

Są to tylko fragmenty wspomnień człowieka, który tkwiąc w dziejach tego środowiska od grudnia 1944 r., był niemal od początku w nurcie centralnych spraw narodzin Uniwersytetu MCS. Nie będzie chyba samochwal-

stwem jeśli nadmienię, że pracując w tym środowisku przez 30 lat, w czym od 1 marca 1945 r. już jako samodzielny pracownik naukowy, najpierw w UMCS, następnie w WSR (AR), a do r. 1970 także w AM, dołożyłem chyba

jakaś skromną cegiełkę do ukształtowania się naszego „LON”. W okresie tym zasiadałem bowiem w trzech Radach Wydziału, w Senacie Akademickim UMCS i WSR, byłem też dziekanem Wydziału Rolnego, prodzieka-

nem Wydziału Zootechnicznego oraz prorektorem WSR.

Niezapomnianą zostanie dla mnie chwila, gdy wyczerpany fizycznie po ciężkich latach okupacji spędzonych jako uchodźca z Poznania na Rzeszowszczyźnie, po znojach partyzanckiego życia, otrzymałem w drugiej połowie listopada 1944 r. od rektora prof. dr. Henryka Raabego pismo, wzywające mnie, a raczej zapraszające jako byłego adiunkta Katedry Zoologii Uniwersytetu Poznańskiego, do nawiązania współpracy z powstającym na skrawku wyzwolonej ziemi ojczystej Uniwersytem Marii Curie-Skłodowskiej.

Gdy z początkiem grudnia przyjechałem do ówczesnej stolicy kraju, Lubli-

Dokończenie na str. 4-5

Garść wspomnień

Gabriel Brzęk

MINĘŁO pięć tysięcy stuleci — pół miliona lat zanim (w 1800 r.) ludność naszej planety osiągnęła liczbę jednego miliarda. Dziś, w 1974 r., jest nas cztery miliardy, a w 1985 r. będzie pięć miliardów. Wystarczy więc zaledwie jedenastu lat, aby ludzkość powiększyła się o miliard.

Twarda reguła demograficzna brzmi: 3,5 proc. przyrostu ludności oznacza jej podwojenie w okresie 20 lat, 2,5 proc. — w okresie 28 lat, 2 proc. — w okresie 35 lat, 1 proc. — w okresie 70 lat. Obecnie przyrost ludności ziem wynosi 2 proc. rocznie, jednak nie wszędzie jest on jednakowy. Najbardziej ludzkie rozmnażają się tam, gdzie

sobę godny człowieka, skoro nie udaje się to dziś przy mniejszej liczbie ludzi? Niepostrzeżenie ataki na nasze naturalne środowisko już obecnie pozabawia znaczną część ludzkości jej życiowego obszaru, zdrowia i możliwości przeżycia. Już dziś połowa ludzi cierpi stale głód, a rocznie umiera ok. 70 milionów ludzi na skutek niedożywienia.

Eksplozja demograficzna spowodowała przede wszystkim postęp medycyny. Dziś więcej ludzi pozostaje przy życiu w pierwszych krytycznych latach po urodzeniu, więcej też dożywa starszego wieku. Średnia długość życia, wynosząca w wysoko rozwiniętych krajach powyżej 70 lat, wzrosła gwałtownie w krajach Trzeciego Świata.

siłą roboczą, ale również jedynym zabezpieczeniem starości — ściśle mówiąc, synowie. Oznacza to: poprzez lepsze odżywienie, poprzez intensywniejsze zaopatrzenie w środki medyczne musi zostać utrzymany przy życiu więcej małych dzieci w krajach Trzeciego Świata, ażeby mniej dzieci musiało przyjść na świat. Również córki muszą mieć możliwość zaopatrzenia swych starych rodziców. Wówczas też rodziny będą mogły być mniejsze, gdyż po szeregu córek niekoniecznie będzie musiał być urodzony jeszcze jeden syn.

Nasz świat uwikłany jest w diabelski krąg przeludnienia i ubóstwa. Im bardziej rozmnaża się ludzkość, tym

Za sto lat sto miliardów?

na najbiedniejsi i gdzie żyją najkrócej: o 3 proc. w wielu rejonach Afryki i Azji, natomiast tylko o 1 proc. w większości krajów europejskich, Związku Radzieckim i Ameryce Północnej.

W minionym dziesięcioleciu cztery piąte przyrostu ludności przypadło na kraje Trzeciego Świata, w latach dziewięćdziesiątych będzie to już siedem ósmych, bowiem rodzice dnia jutrzejszego to są dzieci, które dziś nie przekroczyły wieku 15 lat. Obecnie stanowią one połowę ludności w krajach rozwijających się; w państwach zamorskich — tylko czwartą część.

Jeśli eksplozja demograficzna nie zostanie zahamowana, to w 2025 r. na ziemi będzie żyć około 40 miliardów ludzi, a w 2075 r. — 100 miliardów! Rozwój historyczny przemawia przeciw tym liczbom, ale nawet wstrętniejsze przewidywania opiewają na 12 miliardów ludzi w 2075 r.

W jaki sposób — zastanawia się zachodnoniemiecki tygodnik „Die Zeit” — w okresie możliwym do przewidzenia trzy razy tyle ludzi ma żyć w spo-

Mieszkaniec Mauritiusu przeciętnie dożywał w 1942 r. 33 lat, a obecnie — 60 lat, Meksyku zaś 42 lata, a obecnie 62 lat...

A mimo to — choć brzmi to paradoksalnie — ograniczenie demograficznej eksplozji w krajach Trzeciego Świata musi rozpocząć się od... zwiększenia wzrostu ludności. Cofnięcia się tego wzrostu da się osiągnąć jedynie poprzez danie szansy przeżycia większej liczby niemowląt i poprzez emancypację kobiet. Dopóki w Afryce umiera jedno z czterech dzieci zanim osiągnie pierwszy rok życia, a jedno z dziesięciu w Azji, dopóki z dzieci, które dziś się rodzą w Ameryce Łacińskiej, umiera 75 milionów na skutek niedożywienia zanim osiągną piąty rok życia, dopóki małżeństwo indyjskie musi wydać na świat średnio sześćdziesięciu dzieci, jeśli pragnie upewnić się, że przynajmniej jeden syn będzie żył jeszcze kiedy rodzice postarzeją się — tak długo ludzie Trzeciego Świata nie zaprzestaną reprodukcji. Bowiem dla nich dzieci są nie tylko najtańszą

mniejszą szansę stworzenia nowych możliwości zarobku, tym większa jest liczba bezrobotnych i głodujących. A równocześnie: im bardziej ludzkość popada w nędzę, tym szybciej się rozmnaża. Doświadczenie pokazało, że dopiero przy pewnym poziomie życia, przy pewnym określonym stopniu materialnego bezpieczeństwa i niezależności, zmniejsza się przyrost ludności...

Problem jest na pewno skomplikowany, budzi wiele kontrowersji. Ostatnie konferencje międzynarodowe — demograficzna w Bukareszcie i żywnościowa w Rzymie — wskazują, że ludzkość szuka drogi wyjścia z impasu, myśli o obecnych i przyszłych pokoleniach. Na efekty trzeba będzie jeszcze poczekać, zwłaszcza, że obok głodu i przeludnienia są i inne poważne kwestie: bezrobocie, wyczerpywanie się surowców, zakłócenie biologicznej i ekologicznej równowagi, nie mówiąc już o skomplikowanych problemach politycznych, powszechnie znanych. Tak, tak coraz trudniej żyć dzisiaj na świecie.

KRÓTKO

ROZMOWY BREŻNIEWA

Przywódca radziecki, I sekretarz KC KPZR, L. Breżniew spotkał się we Władystoku z prezydentem USA, G. Fordem. Był to pierwszy osobisty kontakt obu mężów stanu. Moskiewski korespondent agencji Reutersa zwraca uwagę, iż w ostatnim czasie L. Breżniew przeprowadził rozmowy z sekretarzem stanu USA, Kissingerem, ministrem skarbu USA, Simonem, premierem Pakistanu, Bhutto, kanclerzem RFN, Schmidttem, szachem Iranu Pahlawim. Obecnie przywódca radziecki przygotowuje się do wizyty we Francji.

PALESTYŃCZYCY A ONZ

Uczestnictwo Organizacji Wyzwolenia Palestyny, wystąpienie Arafata w debacie specjalnej na forum ONZ poświęconej problemowi palestyńskiemu stanowi ukoronowanie wysiłków podjętych na arenie międzynarodowej i międzyarabskiej o uznanie podstawowych praw palestyńskich. Udział delegacji OWP w debacie ONZ nadaje jednocześnie problemowi palestyńskiemu wymiar polityczny, co do tej pory nie miało miejsca. Jak dotąd, Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło trzy rezolucje przyznające Palestyńczykom trzy podstawowe prawa:

- w grudniu 1948 r. prawo do powrotu i odszkodowań;
- w 1969 r. prawo do samookreślenia (po raz pierwszy użyto w odniesieniu do Palestyńczyków wyrażenia „ludność Palestyny”);
- 1970 r. prawo do walki.

INTERNACJONALIZM

Teoretyczny miesięcznik Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii „Marxism Today” zamieścił w listopadowym numerze komentarz redakcyjny, w którym zwraca uwagę na godny naśladowania przykład internacjonalistycznej postawy partii komunistycznych dwóch krajów — Grecji i Turcji, w chwili wybuchu konfliktu na Cyprze. 25 lipca podczas pierwszej interwencji tureckiej na Cyprze Komunistyczna Partia Turcji wydała odezwę, w której zajęła zdecydowane stanowisko w obronie niezawisłości i suwerenności Cypru. Dziękując za tę odezwę, Biuro Polityczne Komunistycznej Partii Grecji wystosowało oświadczenie do Komunistycznej Partii Turcji. Głosi ono m. in.: „Wasz apel świadczy, że partia wasza stosuje leninowskie zasady internacjonalizmu proletariackiego w sposób wzorowy. Wasz apel jest wielce pomocny ludowi cypryjskiemu...”

BRYTYJSKIE KŁOPOTY

Na londyńskim rynku cukrowniczym zanotowano ostatnio rekordową cenę: 695 funtów szterlingów za tonę cukru. Kluczowymi czynnikami, powodującymi wzrost cen cukru, są słabe zbiory buraków w Europie, związane z niesprzyjającą pogodą; wzrost popytu na cukier o ok. 2-4 proc. rocznie (związany przede wszystkim z przyrostem naturalnym) przy jednoczesnym spadku zapasów na świecie; zakaz stosowania namiastek, który spowodował dalszy wzrost popytu na prawdziwy cukier.

NIXON OPUŚCIŁ SZPITAL

B. prezydent USA, Nixon, opuścił szpital na wózku inwalidzkim. Jak twierdzi prasa amerykańska, wyglądał bardzo źle i znacznie schudł. W najbliższym czasie ma on zostać dokładnie przebadany przez komisję złożoną z trzech lekarzy, która wyda orzeczenie, czy może w charakterze świadka wystąpić przed sądem. Tygodnik „Newsweek” pisał niedawno, że dzienny koszt leczenia Nixona wynosi 400-500 dolarów (b. prezydent nie był ubezpieczony).



w którym żyjemy

CO LUBIĄ NASTOLATKI?

Co lubią? Alkoholi! Tak przynajmniej twierdzi Sue Read w „The Sunday Times”. Na podstawie oficjalnych danych brytyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych stwierdza ona, że w ciągu 1972 r. o przeszło 10 proc. wzrosła w W. Brytanii liczba młodych alkoholików. Był to największy skok od 1962 r.

S. Read cytuje Marcusa Granta, dyrektora do spraw wychowawczych przychodni antyalkoholowej przy londyńskim szpitalu Maudsley Hospital. Ow dyktor uważa, że przyczyną picia wśród młodzieży są takie same, jak wśród dorosłych. Pijemy dlatego, że chcemy być społecznie akceptowani. To samo skłania do picia dwunastoletnią dziewczynkę, która chce być popularną. Dzieci dojrzewają wcześniej, a picie jest przejawem tego procesu. 13-letni chłopiec idzie pic z kolegami żeby udowodnić, że jest dorosły.

Najbardziej niepokojący jest fakt — stwierdza Grant — że młodzieńcy alkoholicy nie są w stanie kontrolować swoich reakcji. Dlatego są tak bardzo narażeni na wypadki — wpadają pod samochody, zachodzą w ciążę. Dopuszczają się też aktów przemocy, takich, które by im nie wpadły do głowy, gdyby byli trzeźwi.

Grant przeprowadził rozmowy z wieloma dziećmi, pijącymi naigminnie. Bez kłopotu dostają alkohol w pubach. Lubia atmosferę pubów, cały nastrój picia. Wszystko to ma dla nich większe znaczenie niż sam smak drinku.

A kiedy pub zamyka drzwi, zaczynają się ekscesy. Niedawno 12-letni chłopiec uprowadził z zajezdni pociągów autobus, prowadził go z nadmierną szybkością i odstawił z powrotem do zajezdni...

Jak wynika z analiz, większość dzieci kupuje sobie alkohol za tzw. kieszonkowe. Rodzice najczęściej nie pytają dzieci, na co wydały pieniądze. Niektóre dzieci zarabiają w sobotę. Oniekalając się malym dzieckiem dwunastoletnie może zarobić 40 pensów na godzinę, przez jeden wieczór dostatecznie wiele, aby kupić sobie butelkę wódki.

Nikt nie jest w stanie udzielić odpowiedzi na pytanie, czy alkoholicy ograniczą picie, kiedy będą starsi. Grantowi wydaje się to nieprawdopodobne.

MIASTO BEZ DUSZY

TAK korespondent Reutersa, Michał Arkus, określa Brasilię. Po 14 latach od momentu, kiedy Brasilia stała się oficjalnie stolicą kraju, mieszkańcy tego ultranowoczesnego miasta uważają, że planiści i urbanisci popełnili jeden zasadniczy błąd socjologiczny. Zapomnieli o tym, jakie znaczenie ma... skrzyżowanie ulic w życiu miasta, róg uliczny.

Mimo futurystycznych kształtów, szerokich arterii komunikacyjnych bez sygnalizacji świetlnej, mimo nieskończonego powiększania się miasta, Brasilia jest miastem opustoszałym. A tak się dzieje dlatego, że — jak twierdzi wielu mieszkańców stolicy — nie ma tradycyjnych węzłów ulicznych z kawiarniami i barami, gdzie Brazylijczycy mogliby się spotkać i porozmawiać.

W szybko rozwijającej się metropolii, która obecnie liczy 700 tysięcy mieszkańców, nie ma faktycznie ulic starego typu. Szerokie arterie z niezliczonymi przejazdami podziemnymi rozchodzą się promieniście na północ i południe od monumentalnej alei, wzdłuż której znajdują się gmachy rządowe. Wzdłuż tych osi rozrzucone są wśród zieleni bloki mieszkalne, jeden spory kawałek od drugiego. Nie ma ulic, jako takich, nobilitacji kawiarenek i barów, a tym samym nie ma wieczorami ludzi na ulicach.

DZIECIORÓJSTWO

NAUKOWCOM nie udało się ustalić dokładnych przyczyn, dla których niekiedy japońscy rodzice porzucają lub zabijają nowo narodzone dzieci. Faktem pozostaje, że każdego roku od 150 do 200 dzieci w Japonii jest pozabawianych życia.

Dr Noriko Sato z Międzynarodowego Stowarzyszenia Psychoanalitycznego jest zdania, że kobiety japońskie równie łatwo za-

bijają lub porzucają swe dzieci, jak korystają z pigulek antykoncepcyjnych. W czasach starożytnych chłopcy, gdy w danym roku zbiory zapowiadały się źle, pozostawiali noworodki płci żeńskiej na stokach gór, skazując je tym samym na pewną śmierć. W miastach noworodki pozostawiano na rogach ulic lub progach domów, gdzie miały one szansę znalezienia przez kłótnię osobę.

Życie w Japonii jest nadal ciężkie, a większość ludzi żyje w warunkach dużego zatłoczenia, jednak wyniki badań wskazują, że nadal tylko 20 proc. dzieciobójstw popełnianych jest z przyczyn ekonomicznych. Większość przypisana jest niestalości uczuciowej rodziców i po prostu niechęci do sprawowania opieki nad dzieckiem.

Metody popełniania zabójstw również uległy zmianie. Zamiast rogów ulic i stoków gór, Japończycy stosują coraz częściej zamknięte boksy bagażowe na dworcach kolejowych i autobusowych, w których pozostawiają dzieci. W ub. roku znaleziono w nich 45 zwłok dzieci, w porównaniu z 8 w 1972 r. i 3 w 1971 r.

Policeja przypuszcza, że w br. popełnionych zostanie 90 tego typu przestępstw. Jej zdaniem, część dzieci jest na pewno martwa w momencie zamknięcia ich w boksie. Wiele jednak ponosi śmierć z głodu i zimna w swych tymczasowych grobowcach.

Zamknięcie w boksie bagażowym skazuje dziecko na prawie pewną śmierć, ponieważ zawartość boksu test sprawdzana przez obsługę co parę dni, a płacz dziecka nie sposób usłyszeć w hałasie, jaki panuje na dworcu.

Przebiegu 3 lat znaleziono zaledwie jedno żywe dziecko zamknięte w boksie na dworcu w Osace. Odnalezieni rodzice oświadczyli, że opuścili swego nowo narodzonego syna, ponieważ mają dwoje dzieci i nie chcą mieć więcej. Matka zostawiła swoje dziecko w niezamkniętym boksie i zostało ono znalezione w kilka godzin później przez 69-letniego mężczyznę, który chciał tam zostawić swój bagaż. Zarzucił jednak rodzice wrzucają ostate do otworu i zabierała klucze. Zdarzały się nawet bardziej drastyczne przypadki: 26-letni kierowca takśówki pozabawił życia swą córkę wrzucając ją do pieca.

Jakkolwiek dokładne przyczyny zjawiska pozostają nieznane, to jednak — zdaniem ekspertów — przestępstw tych dopuszczają się często matki niezamężne lub opuszczone przez swych mężów.

KRÓL WĘGIEL I KRÓLOWA BENZYNA

Jerzy Dostatni

NALEŻĘ do tych niecierpliwych, którzy chcieliby już jutro, najdalej pojutrze widzieć na Lubelszczyźnie coraz to nowe szyby kopalniane, pociągi wyładowane węglem, wielką elektrownię, zużywającą na miejscu miał węglowy. Ale gdy potem rozmawiam z różnymi fachowcami, sprawa zaczyna być bardziej skomplikowana. To prawda, że w dzisiejszych czasach można wybudować kopalnię, dającą 10—15 tys. ton węgla na dobę, w ciągu kilku lat. Ale co innego wybudować taką kopalnię na Górnym czy Dolnym Śląsku, gdzie nie tylko są fachowcy, ale i cała infrastruktura przemysłu węglowego, a co innego w dziewiczym pod tym względem terenie. Infrastruktura zaś — drogi, koleje, łączność, mieszkania ze wszystkimi inwestycjami towarzyszącymi, gwałtowny wzrost już istniejących i powstawanie nowych aglomeracji — to wszystko wymaga i długiego czasu na przygotowania i dziesiątków miliardów złotych na realizację.

We wschodniej części województwa mamy pokłady dobrego węgla o zasobności ponad 42 miliardów ton. Roczne zużycie węgla kamiennego w naszym kraju wynosi prawie 120 milionów ton. Znaczący to, że lubelski węgiel wystarczyłby dla całego kraju na 350 lat, gdyby jego zużycie zatrzymało się na obecnym poziomie. A przecież Lubelskie Zagłębie Węglowe to 36 proc. całych naszych zasobów krajowych (nie 65 proc., jak to podał „Sztandar Ludu” w nr. 245).

W roku 1937 w Polsce wydobyto 36 mln ton węgla, co stanowiło 2,8 proc. wydobycia światowego, w roku ub. wydobyliśmy 157 mln ton, co z udziałem 7,3 proc. dało nam czwarte miejsce na świecie (po USA, ZSRR i Chinach). Byliśmy bodaj jedynym krajem na świecie, który w tym czasie systematycznie zwiększał wydobycie węgla. Pokrywając w pełni szybko wzrastające zapotrzebowanie krajowe, był on i jest naszym głównym artykułem eksportowym. A biorąc ogólną sytuację energetyczną na świecie, jeszcze wzmocni swoją pozycję.

Całkowicie odmiennie kształtuje się nasza pozycja w wydobyciu ropy naftowej. Prawda, że w wyniku stałych poszukiwań zwiększyliśmy nasze wydobycie dwukrotnie, ale mimo to wynosi ono tylko około 460 tys. ton rocznie, co stanowi zaledwie 0,01 proc. wydobycia światowego. Nie wystarczy to nawet na dwa miesiące dla naszych prywatnych samochodów osobowych — a gdzie pozostała, znacznie większa część potrzeb? W ciągu ostatniego piętnastolecia pozyskanie gazu ziemnego zwiększyło się u nas dwanaście razy — jeżeli chodzi o dynamikę zajmujemy drugie miejsce na świecie po Wielkiej Brytanii — ale nasze 6 miliardów m. sześciu gazu rocznie to znowu tylko 0,5 proc. wydobycia światowego.

Więc w dziedzinie energii naszą przyszłością jest tylko węgiel. Dla przeciętnego Polaka węgiel to czarna gruda, którą wkłada się do paleniska i spala; na cztery mieszkania trzy są nadal opalane węglem w tradycyjny sposób. Podobnie z gotowaniem jedzenia. Ale już np. przemysł tylko ok. 10 proc. swoich potrzeb pokrywa bezpośrednim spalaniem węgla — pozostałe 90 proc. to przede wszystkim elektryczność, centralne kotłownie, koks czy gaz, a więc swego rodzaju „uszlachetnione” źródła energii.

Tymczasem już sto pięć lat temu chemik francuski Marcelin Pierre Berthelot (nie Bertholet — jak podaje WEP, który też był chemikiem, ale zmarł 50 lat wcześniej!) pierwszy na świecie próbował produkować z węgla benzynę. Udało się to urodzonemu dokładnie sto lat temu w Złotnikach pod Wrocławiem chemikowi niemieckiemu Fryderykowi Bergiusowi. Pierwszą fabrykę benzyny syntetycznej uruchomiono w Niemczech już w roku 1927 w kombinacie chemicznym w mieście Leuna pod Halle, a nie dopiero za czasów hitlerowskich, jak to piszą niektórzy. Przygotowując się do wojny, a potem podczas jej trwania, hitlerowcy wybudowali dwadzieścia takich fabryk, które produkowały już około 4 milionów ton takiej benzyny rocznie. Prawie wszystkie zostały zniszczone w czasie wojny.

(Sam na początku 1945 roku byłem świadkiem — z odległości około 20 km — nalotu nocnego na taką fabrykę w dzisiejszych Policach. Z tej bezpiecznej odległości wspinały się widoki wybuchających zbiorników, kolorowych pociągów przeciwlotniczych, płonących w powietrzu samolotów, zawieszonych na spadochronach rakiet oświetlających. Maszerując w kolumnie jeńców wojennych z oflagu w Woldenbergu na zachód, już po kilku dniach widziałem skutki tego bombardowania — dziesiątki unieruchomionych samolotów z czarnymi krzyżami, unieruchomionych z powodu braku paliwa).

Dość swobodna wymiana gospodarcza po wojnie, a przede wszystkim niskie ceny ropy naftowej, której złoża odkrywano wciąż w nowych rejonach świata, spowodowały, że przemysł przerobu węgla na ropę stracił rację bytu. Po prostu produkcja nie opłacała się. Przestali się więc sprawą interesować działacze gospodarczy, ekonomiści, zaopatrzeniowcy. Ale nie przestali naukowcy. W chemii tak już jest że to, co dzisiaj wydaje się niemożliwe lub nieopłacalne, jutro może stać się rewelacją użyteczną niemal wszędzie.

W tej dziedzinie prace badawcze i eksperymentalne prowadzone są bądź w katowickim Głównym Instytucie Górniczym, bądź pod jego egidą i za jego pieniądze w kilku innych placówkach. Jedną z

nich jest Zakład Chemii i Technologii Pozostałości Ropy w Politechnice Wrocławskiej, którego kierownikiem jest prof. dr Marian Rutkowski. Profesor pochodzi z Kielc, tam uczęszczał do słynnego gimnazjum Zeromskiego. Z partyzantki trafił do niewoli, a potem do Wrocławia, gdzie na ówczesnym Uniwersytecie i Politechnice (była to wtedy jedna uczelnia) skończył Wydział Chemiczny. Później specjalizował się w chemii rolnej.

— I prawdopodobnie zostałemby cukrownikiem — powiada profesor — gdyby nie to, że w Katedrze Technologii Nafty i Paliw Płynnych Politechniki, którą kierował prof. Tomasiak, był wolny etat. Tak więc jeszcze jako student zostałem młodszym asystentem w zakładzie, którego dzisiaj jestem kierownikiem.

— Chciałbym prosić pana profesora, aby pan w sposób popularny — „Kamena” nie jest pismem dla fachowców z dziedziny chemii — powiedział, na czym polega istota przemiany węgla w benzynę.

Profesor sięga na półkę i stawia przede mną dużą butlę napelnioną jakimś płynem, który kolorowo przypomina nie najlepszą jakość herbatę. To właśnie owa benzyna z węgla.

— Kolor nie ma tu żadnego znaczenia — wyjaśnia profesor — wystarczy zresztą jednorazowa destylacja, aby uzyskać benzynę bezbarwną. Wracając do tematu — trzeba odróżnić popularną nazwę węgla jako powszechnie używanego paliwa, oraz węgiel jako pierwiastek chemiczny oznaczony symbolem C (Carboneum), którego związki są bardzo pospolite i występują zarówno w skorupie ziemskiej jak i w powietrzu. Otóż nie od dzisiaj wiadomo, że C i jego związki mają olbrzymie znaczenie jako surowce energetyczne i chemiczne. Do przetwarzania trzeba jednak węgiel wyselekcjonować, gdyż pobierany w różnych miejscach, posiada różne składniki, chodzi zaś o taki, który najłatwiej wchłania wodór. W Polsce wytypowano już kilkanaście kopalń, które mogą dostarczyć całkowicie wystarczające ilości takiego węgla.



Prof. dr Marian Rutkowski

wprowadzić dodatkowe ilości wodoru, czyli — jak mówią fachowcy — uwodornić węgiel.

— Trochę brzydko mówią fachowcy...

— Więc niech będzie upłynięcie węgla, wzbogacanie go w wodór, albo berginizacja — od Bergiusa. W pierwszej fazie następuje ekstrakcja składników węgla. Około 20—30 proc. stanowi balast nie ulegający uwodornieniu, który odrzuca się. Natomiast do pozostałego ekstraktu wprowadza się 6—8 proc. wodoru. Początkowo idzie to dość łatwo, ale potem coraz trudniej. Dokonuje się to pod ciśnieniem do 300 atmosfer i w temperaturze około 450 stopni Celsjusza. Niezmiernie ważną rolę odgrywa tu katalizator, który przyspiesza i ułatwia wzbogacanie węgla w wodór. Ale każdy katalizator działa wielokierunkowo, chodzi zaś o to, aby działał tylko w pożądanym kierunku. Ponadto o to, aby był tani i łatwo dostępny.

— Spotkałem się gdzieś ze stwierdzeniem, że na świecie wypróbowano już coś około 6 tysięcy katalizatorów.

— Być może. My mamy w tej dziedzinie własne, wrocławskie osiągnięcia. Ale jak wszyscy na świecie i my nie mówimy głośno, jakiego używamy katalizatora. Chciałbym jednak podkreślić że to, co wyżej nazwałem balastem, wcale takim odpadem nie jest. Przy dalszej przeróbce otrzymuje się z tego gaz wodorowy oraz żużel, potrzebny do wyrobu cementu czy budowy dróg. Ponadto przy całym procesie nie uwalniają się szkodliwe gazy, co ma bardzo duże znaczenie dla ochrony środowiska człowieka.

— No a sama benzyna?

— Benzyna węglowa jest silnie aromatyczna, praktycznie bez siarki, a więc spaliny z silnika są czystsze. Ponadto benzyna węglowa jest wysokoekstankowa. Nie spala się jej samej, ale dodaje do benzyn niskooktanowych otrzymywanych z ropy naftowej. Z ropy węglowej można otrzymać paliwa odrzutowe wysokiej jakości. Chodzi tu o to, aby w zbiornikach o tej samej objętości zmieścić możliwie największą energię.

— A teraz pytanie, które nurtowało mnie zanim jeszcze tu trafiłem: czy przerób węgla na ropę opłaca się? Nie można przecież powoływać się na okres hitlerowski Niemiec, bo to były okoliczności szczególne w warunkach blokady niemal wszystkich źródeł ropy naftowej.

— Przed dziesięciu, dla przykładu, laty koszt wydobycia jednej tony ropy naftowej w Kuwejcie wynosił 1,10 dolara amerykańskiego, a można ją było kupić dopiero za 5—8 dolarów. Dzisiaj ta sama tona na rynkach światowych kosztuje około 75 dolarów. Tak więc kalkulacja zmieniła się radykalnie. I nawet w najbardziej sprzyjających warunkach politycznych i gospodarczych cena ta zapewne nie ulegnie poważniejszemu zmniejszeniu, są nawet przesłanki, że będzie odwrotnie. Proszę także pamiętać, że znane zasoby węgla na świecie są wielokrotnie większe od zasobów ropy naftowej. Ropy szukają wszyscy, kopalnie węgla zamykano we Francji, Belgii, Anglii i innych krajach. Prawda, że nie jest łatwo przestawić gospodarkę z ropy na węgiel, ale np. cała motoryzacja opiera się na benzynie — obojętnie z jakiego źródła ona pochodzi. Przecież bardzo niska cena ropy naftowej zahamowała w pewnym stopniu rozwój energetyki atomowej i jeżeli w tej dziedzinie coś się robiło, to ze względów strategicznych czy prestiżowych, a nie ekonomicznych. Natomiast całkiem niedawno, kiedy jeszcze ropa naftowa była tańsza, jedna z firm amerykańskich ogłosiła, że potrafi już wyprodukować benzynę z węgla, której galon (3,79 l — przyp. J. D.) będzie o dwa centy tańszy od benzyny z ropy. Uważałem to już wówczas za możliwe chociażby z tego względu, że w Stanach Zjednoczonych poważną część węgla wydobywa się z kopalń odkrywkowych. Wprawdzie niszczy się przy tym środowisko, ale węgiel jest znacznie tańszy niż w Europie.

— A jak, w obecnych warunkach, z opłacalnością u nas?

— Z jednej tony węgla naszą metodą otrzymuje się około 500 kg benzyny i nafty (z jednej tony ropy naftowej 250 kg benzyny), nie licząc węgla na wytworzenie wodoru i energii. Na wyprodukowanie jednej tony benzyny z węgla, 230 kg gazu płynnego i 450 kg gazu opałowego Niemcy używali kiedyś 4750 kg węgla łącznie z produkcją wodoru. Dziś mamy jednak znacznie tańsze źródła takiej energii w postaci różnych odpadów z rafinerii, gazu ziemnego itp. Zmieniły się także proporcje energii zużywanej i energii wytwarzanej. W naszym Instytucie prace nad produkcją benzyny z węgla podjęliśmy w połowie lat sześćdziesiątych. Prekursorem był tu prof. Dżysław Tomasiak, wychowawca całego naszego zespołu, który już wtedy twierdził, że zarówno energetyka jak i motoryzacja muszą być oparte na węglu. Energetykę w kraju rzeczywiście oparliśmy na węglu i dzięki temu dziś nie tylko nie przeżywamy światowego kryzysu, ale nawet w tak dramatycznej dla całego świata sytuacji nie tylko w pełni pokrywamy własne potrzeby, lecz obok samego węgla eksportujemy także wytworzoną z niego energię elektryczną, o czym świadczy chociażby ostatnia umowa z Austrią. Jeżeli chodzi o benzynę węglową, to jestem głęboko przekonany, że jej produkcja przy obecnych cenach ropy w naszych warunkach byłaby w pełni opłacalna. Rzecz w wybudowaniu odpowiednio dużych fabryk.

Tyle z rozmowy z prof. Marianem Rutkowskim, która nie odbyła się w pierwotnie planowanym terminie z powodu odroczenia profesora Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, w drugim nieco się spóźniła z powodu posiedzenia Rady Wydziału. Teraz na profesora czeka już córka. Odjeżdżają samochodem — dowiem się potem od współpracowników, że profesor tylko raz próbował w swoim samochodzie benzynę węglową. Wyprodukowana bowiem w warunkach laboratoryjnych jest bardzo droga.

Z innych rozmów wynika, że ekonomiczna opłacalność produkcji benzyny węglowej potyka się jeszcze o koszt samej fabryki. Podobno, jak obliczono w RFN, takiej pierwszej wielkiej fabryki, produkującej około 6 milionów ton rocznie, wyniosłoby około 6 miliardów marek. Suma pokaźna nawet dla bogatych państw. Jednak przy rozłożeniu amortyzacji na lat dziesięć — tylko dziesięć fenigów na litr benzyny. Ale druga fabryka będzie tańsza, trzecia jeszcze bardziej itd. Może trudno sobie dziś wyobrazić seryjną produkcję takich fabryk, ale przecież jest to możliwe w warunkach coraz szerszej kooperacji międzynarodowej.

W USA niedawno podano do wiadomości, że na same tylko badania związane z przerobem węgla na benzynę przeznaczono się 5 miliardów dolarów. W przyszłej pięcioletniej Polsce daje także poważne środki na rozwój przemysłu węglowego i chemicznego. Podpisane w czasie pobytu w USA i sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka porozumienia o współpracy tych właśnie przemysłów może oznaczać, że myśl naukowców ostatecznie się bardziej wartościowa od pieniędzy. Zważając, że trzy zasadnicze kierunki poszukiwań i badań są zbliżone: 1) otrzymywanie paliw bezdymnych, 2) otrzymywanie paliw płynnych z węgla, 3) gazyfikowanie węgla także w ziemi. Nad tymi zagadnieniami usilnie pracują naukowcy, zresztą także w wielu innych krajach. My tu, w Lublinie, na razie możemy sobie tylko pomarzyć o perspektywie.

WLADZE bezpieczeństwa w Lublinie już od dłuższego czasu rozpracowywały siatkę organizacyjną WIN. W październiku — listopadzie 1946 roku aresztowano 879 członków organizacji, w tym zastępcę komendanta okręgu i szefa propagandy okręgu, dwóch inspektorów rejonowych (w Lublinie i Zamościu), siedmiu komendantów obwodów (powiatowych), czterech komendantów podobwodów, trzynastu komendantów rejonowych, trzech dowódców grup zbrojnych oraz dziesięć nastu łączników. Również zorganizowany jeszcze przez „Orlika” inspektorat rejonowy WIN w Kozienicach (woj. kieleckie), na którego czele stał „Zagończyk”, został zdekonspirowany na skutek ujawnienia się przed władzami. „Zagończyk” wyprowadził wówczas z podziemia 193 osób, w tym część z puławskiego, i zdał 221 sztuk broni.

Było to poważne osłabienie podziemia winowskiego w województwie. Niemniej jednak na okres wyborów w dalszym ciągu pozostała nienaruszona siatka WIN na Podlasiu, a w województwie działało jeszcze 17 grup zbrojnych tej organizacji, liczących około 700 ludzi. Obok tego istniały dwie grupy NSZ w sile około 50 osób oraz pięć sotni UPA, liczących razem nie mniej niż 700 osób.

W tej sytuacji władze państwowe zmuszone zostały do wzmocnienia wysiłków mających na celu zapewnienie stanu bezpieczeństwa w województwie. Spokoju w okresie wyborów chroniło w Lubelskiem 1511 funkcjonariuszy MO, 1600 członków ORMO, 3836 żołnierzy WP, 687 żołnierzy KBW i 145 żołnierzy WOP. Ponadto dysponowano odpowiednimi oddziałami i rezerwami.

Te znaczne siły spowodowały, że przebieg wyborów był względnie spokojny, choć w styczniu 1947 roku zginęło jeszcze w województwie 22 żołnierzy WP oraz 38 osób cywilnych, funkcjonariuszy MO i służby bezpieczeństwa. Co najmniej w 27 przypadkach sprawcami śmierci byli członkowie organizacji WIN, w 7 — NSZ-NOW, a w 1 — UPA.

W okresie prac przygotowawczych do wyborów władze wyciągnęły również słuszne wnioski z referendum. W całym województwie zorganizowanych zostało 469 obwodów wyborczych, a więc o wiele mniej niż poprzednio. Unikając ich rozdrobnienia, zmniejszono oddziaływanie terroru podziemia na wyborców i zabezpieczono właściwy skład komisji wyborczych. W komisjach było 68 proc. członków PPR, 20 proc. członków PPS, 10 proc. członków SL, 2 proc. członków SD i bezpartyjnych. Ujawnione fakty współpracy wielu ludzi z reakcyjnym podziemiem spowodowały konieczność pozbawienia prawa głosu niektórych ludzi. Z tych m. in. powodów oraz wyjazdu wielu osób z terenów województwa, w styczniu 1947 roku na listach uprawnionych do głosowania figurowało o 55 558 osób mniej w porównaniu do referendum ludowego.

Działania władz w okresie przedwyborczym szły więc w tym kierunku, aby przede wszystkim ograniczyć możliwości wpływu reakcyjnego podziemia na wyborców i komisje wyborcze. Niemniej terror podziemia w porównaniu do innych terenów kraju był na Lubelszczyźnie jeszcze bardzo silny. Głównym jego celem było zapewnienie jak największej liczby wyborców głosujących na listy PSL. Możli-

wość bloku demokratycznego głosowało 66 844 wyborców mniej. Nie oznacza to jednak przesunięcia się tych głosów na rzecz PSL. Na listy PSL głosowało bowiem w całym województwie 147 026 wyborców, czyli 17,8 proc. ogółu oddanych ważnych głosów, podczas gdy w referendum na pierwsze pytanie głosowały „nie” 278 654 osoby (31,2 proc. ogółu oddanych ważnych głosów). A trzeba pamiętać,

Historia najnowsza

PIERWSZE WYBORY

Ireneusz Caban, Edward Machocki

wości podziemia, a także i samego Polskiego Stronnictwa Ludowego, były jednak już w tym okresie o wiele mniejsze.

Wyniki wyborów z 19 stycznia 1947 roku były wielkim zwycięstwem sił demokratycznych. Oznaczały równocześnie ostateczną klęskę podziemia reakcyjnego i legalnej opozycji, przekreślały bowiem ich nadzieje na zdobycie władzy. Na 975 838 osób uprawnionych do głosowania udział w wyborach wzięło 835 101 osób, czyli 85,7 proc. Głosowało więc o 89 905 osób mniej niż w referendum. Byli to ci, którzy nie chcieli głosować na żadne z ugrupowań legalnych.

Na listy bloku demokratycznego oddanych zostało 559 648 głosów ważnych, czyli 67,7 proc. W referendum ludowym 3 razy „tak” głosowało 68,8 proc. W porównaniu do referendum na kandyda-

tać, że w liczbie głosów na to pytanie w referendum mieściły się głosy reakcyjnego podziemia, które wywierało presję na ludność, aby głosować 2 i 3 razy „nie”, a takich głosów było ponad 216 tys. Wybory potwierdziły więc słuszność ocen o poważnym wpływie reakcyjnego podziemia na wyniki referendum.

Porównując przesunięcia się głosów z okresu referendum i wyborów do sejmiku, trzeba również stwierdzić, że pewna część wyborców głosujących w czerwcu 1946 zgodnie z wezwaniem PSL, obecnie oddała swoje głosy na listy PSL — „Nowe Wyzwolenie” (74 061 głosów), na listę niezależną zgłoszoną w okręgu siedleckim „Polacy Katolicy” (23 191 głosów) oraz na listę Stronnictwa Pracy (14 284 głosów).

Podobnie jak w referendum najmniej głosów uzyskały stronnictwa bloku demokratycznego na

Garść wspomnień

Dokończenie ze str. 1

na, zastałem w nim ogromne ożywienie. A jednocześnie podczas ostrej zimy 1944/45 r. brak było opału, energię elektryczną i wodę włączano do poszczególnych dzielnic tylko na kilka godzin w ciągu doby, a ulice miasta ze względu na bliskość frontu bywały nocą bardzo słabo oświetlone lub też całkowicie pogrążone w ciemnościach. W koszarach, szkołach lub pod namiotami stacjonowało mnóstwo wojska. Wiele gmachów było zajętych przez szpitale, a sporo mieszkań prywatnych na oficcerskie kwatery. Na dachach wielu budynków w dzień i w nocy czuwały przy przeciwlotniczych karabinach maszynowych i reflektorach patrole obserwacyjne. Wbrew starożytnemu przysłowiu „inter arma silent Musae” organizowała się również nauka i kultura polska.

Kreowany dekretem PKWN w dniu 23 października 1944 r. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej (UMCS), jako symbol PKWN-owskiego czynu oraz wyraz protestu przeciw wymordowaniu przez hitlerowców czołowych przedstawicieli polskiej nauki i kultury, pozbawiony własnych lokali, aparatury, bibliotek, traktowany złośliwie przez cyników jako jakaś efemeryda lub przysłowiowo „sennie marzenie”, przetrwał tymczasem z każdym dniem coraz to realniejsze kształty. Zaledwie skompletowano w listopadzie prowizo-

ryczną obsadę personalną dla wydziałów Przyrodniczego i Lekarskiego, a już z końcem grudnia wyprowadzono wydziały Rolny i Weterynaryjny, zaś z początkiem stycznia 1945 r. powstał wydział Farmaceutyczny.

W styczniu 1945 r. na wszystkich pięciu wydziałach uczelni studiowało około 2 000 studentów. Latem, po wyzwoleniu reszty ziem polskich, poważna ich część przeniosła się jednakże do innych ośrodków, wskutek czego pod koniec pierwszego roku akademickiego stan młodzieży w uczelni zmalał do 980 studentów. Fizjonomia tej młodzieży, jej stan zdrowotny i jej zasoby materialne były godne ubolewania. Wielu z nich walczyło do niedawna w partyzantce lub przebywało na przymusowych robotach. Większość tej młodzieży zdobyła matury w akcji tajnego nauczania lub też składa je jeszcze podczas studiów na kursach wieczorowych. Wielu mężczyzn uczęszczało na zajęcia w żołnierskich mundurach polskich, często zrzutowych, lub nawet poniemieckich, zdradzających jednakże swym stanem kontakt z „leśną przyrodą”. Pomimo to młodzież wykazywała bardzo wysoki stopień zdyscyplinowania, wielki głód i chłoność wiedzy, pilność i pracowitość. Nieobecność na zajęciach była zjawiskiem wyjątkowym.

14 stycznia 1945 r. odbyła się w sali Gimnazjum im. Staszica w obecności członków rządu oraz przedstawicieli władz partyjnych, przy akompaniamencie artyleryjskiej kanonady dochodzącej z frontu nad Wisłą — uroczysta inauguracja pierwszego roku akademickiego 1944/45, podczas której kierownik Resortu Oświaty dr Stanisław

Skrzyszewski, a następnie rektor Raabe uwpukili historyczną doniosłość zmian ustrojowych, którym Uniwersytet MCS zawdzięcza swoje powstanie.

Fakt powołania do życia Uniwersytetu MCS miał dla zniekanego wojną społeczeństwa polskiego, a także dla zagranicy, ogromne znaczenie moralne. Działo się to bowiem w okresie, gdy w Warszawie po upadku powstania hitlerowscy zbrodniarze wysadzali w powietrze i palili bezcenne zabytki naszej kultury, gdy płonęły wsie i miasteczka. Dla wszystkich, którzy cierpieli i walczyli, wieść o powołaniu do życia pierwszej uczelni wyższej już w trzecim miesiącu po wyzwoleniu skrawka ojczyzny była źródłem nadziei i otuchy, a dla rodaków rozsiansych za granicą dowodem niezniszczalności sił regeneracyjnych naszego narodu.

Na wydziałach Przyrodniczym oraz Lekarskim, które dzięki większym zasobom sił naukowo-pedagogicznych ukonstytuowały się najwcześniej, studenci I roku rozpoczęli niektóre zajęcia już w drugiej połowie grudnia 1944 r., na wydziałach zaś Rolnym i Weterynaryjnym w pierwszych dniach stycznia 1945 r. Najpóźniej, bo 10 stycznia 1945 r., zorganizowano Wydział Farmaceutyczny, a autorowi niniejszego przypało w udziale wygłoszenie na nim pierwszego wykładu z biologii z parazytologią.

W początkowym okresie warunki pracy pedagogicznej i studiów były niezwykle trudne. Odczuwaliśmy przede wszystkim ogromne trudności lokalowe, zarówno na pomieszczenia zakładów naukowych, jak i na mieszkania dla pracowników i studentów, cierpieliśmy też na wielkie ubóstwo bazy materialnej.

Ale największym kapitałem w tym najcięższym, a zarazem pełnym romantyzmu okresie, kiedy mierzyliśmy „sily na zamiary”, był ogromny, powszechny i spontaniczny entuzjazm wszystkich pracowników naukowych, administracyjnych i technicznych, była nieprzeparta wola zwycięstwa, emanująca na nas od twórcy uczelni, rektora Raabe-

go. Podstawą pracy była bezwzględna ufność w dobrą wolę władz i wszystkich pracowników uczelni, zrozumienie cięższych na każdym z nas zadań, wielka pracowitość połączona z poczuciem odpowiedzialności, oraz świadomość, że każdy z nas jest współorganizatorem i współtwórcą tego wielkiego dzieła. Atmosferą tą byli objęci również studenci. Tak wielkiej konsolidacji sił i dążeń, jakie panowały w początkowych latach działalności uczelni, trudno szukać w późniejszych latach. Każdy z zakładów ma swoją historię, w której decydującą rolę odgrywał nie tyle zasób środków materialnych, ile wkład sił i doświadczenie kierownika i jego współpracowników. Każdy zakład rozpoczynał swój byt od jednego zwykłego pokoju, w którym jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z tygodnia na tydzień pomnażały się aparaty, tablice wykładowe, książki, umożliwiające w coraz to wyższym stopniu usprawnienie pracy dydaktycznej i naukowej.

W początkowym okresie wykłady i ćwiczenia odbywały się w warunkach urągających niekiedy elementarnym zasadom dydaktyki. Tak np. ćwiczenia z zoologii i botaniki na Wydziale Rolnym z powodu konieczności komasowania na niej większej ilości mikroskopów, odbywały się przez początkowe dwa lata nawet w niedzielę od rana do wieczora. Z wielkim wzruszeniem, a zarazem poczuciem dumy wspominam moje pierwsze dla wydziałów Rolnego, Weterynaryjnego i Farmaceutycznego wykłady wygłaszane w nieogrzewanej i pozbawionej kilku szyb auli Gimnazjum im. Staszica. Brać studentka z niezwykle entuzjazmem garnęła się do wiedzy. W obszernej sali w początkowych miesiącach było zaledwie kilka prowizorycznych ławek z nieheblowanymi deskami, które, podobnie jak i parapeły okien, zajmowały z reguły studentki. Mężczyźni słuchali wykładów w pozycji stojącej, a spisywali notatki opierając zeszyty na plecach kolegów. Wykładowca z braku stołu trzymał zwykle notatki w ręku, a w miarę postępu „racjonalizatorstwa” opierał je na

Podlasiu. W okręgu wyborczym Siedlce lista bloku demokratycznego uzyskała np. tylko 51,2 proc. ważnych głosów.

W rezultacie do Sejmu Ustawodawczego z terenu Lubelszczyzny wybrano: z listy bloku demokratycznego — 20 posłów, z PSL — 3, z PSL „Nowe Wyzwolenie” — 1 oraz z listy „Polacy Katolicy” — 1 posel.

23 lutego Sejm Ustawodawczy uchwalił ustawę, która podobnie jak poprzednia obejmowała amnestią wszystkie nielegalne polskie organizacje polityczne i wojskowe występujące przeciwko władzy ludowej. W jej wyniku został pogłębiony kryzys ideologiczny i polityczny w podziemiu reakcyjnym w całym kraju, w tym i na Lubelszczyźnie. W wyniku tej amnestii, a także w wyniku działania organów bezpieczeństwa i Wojska Polskiego, w kraju ujawniło się ok. 55 tys. ludzi, zdając ponad 13 tys. jednostek broni, w tym w województwie lubelskim — 13 735 ludzi, którzy zdali około 6 tys. sztuk broni. Już te liczby wskazują, jak duży procent uzbrojonych członków podziemia działał na Lubelszczyźnie.

Wśród ujawnionych na terenie województwa lubelskiego 921 określiło się jako b. członkowie grup leśnych, 4616 jako członkowie organizacji WiN, a 561 jako członkowie AK. Oprócz tego ujawniło się 4690 dezertów i 2441 innych. Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że ta znaczna liczba broni — przy uwzględnieniu zasady, że podziemie nigdy nie oddawało wszystkiego — świadczy, że większość tzw. siatki cywilnej WiN była również uzbrojona. Z tych właśnie ludzi WiN organizował bojówki dla wykonania określonych zadań terrorystycznych. Niesłuszne są więc różne oceny ustalające liczbę członków podziemia zbrojnego tylko na podstawie deklaracji amnestyjnych ludzi z grup lotnych czy leśnych. Bardziej miarodajne są w tym przypadku liczby zdanych jednostek broni, choć i tu należy mieć na uwadze, że dane są również niepełne. Jeszcze bowiem w końcu lat pięćdziesiątych organa MO wykrywały lub przejmowały różne ilości broni będącej dawniej w posiadaniu reakcyjnego podziemia.

Akcja amnestyjna w 1947 roku na Lubelszczyźnie, podobnie jak i poprzednia, przebiegała z dużymi oporami, a w łonie podziemia winowskiego zarysowały się nawet konflikty. Komenda Okręgu WiN, mimo zagrożenia spowodowanego wcześniejszymi aresztowaniami większości kadry dowodzącej, przez długi czas nie podejmowała decyzji o ujawnieniu. Komendant okręgu „Drugak” oraz szef sztabu „Wir” podjęli rozmowy w sprawie ujawnienia się dopiero w marcu, a ujawnili się w kwietniu. Zwleknięcie z decyzją wynikało bowiem z chęci wywarcia presji na władze, aby wypuściły one

z aresztu część osób, których nie obejmowała amnestia. Atutem przetargowym miało być zgromadzenie bojówek „Zapory”. Stąd również „Zapora”, choć naciskany przez KBW, nie podejmował decyzji. Pierwsze rozmowy, prowadzone w marcu 1947 roku ze sztabem KBW, zostały przez „Zaporę” zerwane i dopiero rozmowy w maju, choć już po upływie okresu amnestyjnego, doprowadziły do ujawnienia większości grupowania, synajmniej nie całego. Sam „Zapora” i część jego sztabu nie skorzystała z amnestii i pozostała w podziemiu.

Na wyczekującą postawę kierownictwa WiN wobec amnestii wywierała również wpływ sytuacja w lubelskim PSL. Faktem jest, że na przełomie lat 1946 i 1947 utraciło ono dawną pozycję na wsi, a część członków opuściła jego szeregi. Nie oznaczało to jednak zaniku oddziaływania tego stronnictwa na masy chłopackie, zwłaszcza że przywódca jego w dalszym ciągu popierał linię polityczną Mikołajczyka.

Potwierdził to przebieg wojewódzkiej konferencji PSL w marcu 1947 roku, podczas której w pełni zaakceptowano uchwały Rady Naczelnej PSL z lutego 1947 roku, stwierdzając m. in.:

„1. Wyrazić całkowite zaufanie do władz naczelnych PSL z prezesem S. Mikołajczykiem na czele. 2. Uznać dotychczasową linię PSL za właściwą i zgodną z uchwałami Kongresu PSL i Rady Naczelnej. 3. Sprzeciwić się zdecydowanie podstępom o zmianie dotychczasowej linii PSL, które miałyby na celu wykluczenie ich ze Stronnictwa. 4. Wezwać wszystkich członków do zwarcia szeregow i pomnożenia wysiłków w kierunku urzeczywistnienia hasła programowego PSL dla ugruntowania demokracji parlamentarnej w Polsce. 5. Wytrwać w tych trudnych czasach i ciężkiej dla pracy organizacyjnej PSL, jednocześnie swe siły i dążenia w oparciu o ideały ludowe, wyrosłe w duszach chłopackich”.

Wytrwałość PSL w obronie zbankrutowanych już pozycji musiała wywierać również określony wpływ na postawę kierownictwa WiN. Nie mogła ona jednak odwrócić nieuchronnego procesu, choć proces ten na Lubelszczyźnie nie był tak szybki jak w innych województwach. Amnestia nie spowodowała bowiem pełnej likwidacji podziemia winowskiego.

Według danych na dzień 1 maja 1947 roku, a więc już po upływie okresu amnestyjnego, na terenie województwa lubelskiego pozostało jeszcze 13 większych grup zbrojnych, w tym 5 powinowskich: „Młota” (podporządkowanej „Lupaszce”), „Rysia”, „Zbika” i „Uskoka” (z dawnego grupowania „Zapory”) oraz grupa „Żelaznego”. Działały one na terenie powiatów lubelskiego, kraśnickiego, lubartowskiego, włodawskiego oraz w północnych rejonach województwa. Pozostały również dwie grupy NSZ-NZW, „Beja — Mroka” w powiecie siedleckim i „Adama” w biłgorajskim. W powiatach tomaszowskim, hrubieszowskim, włodaw-

skim i białopodlaskim działało jeszcze 5 grup UPA („Dudy”, „Czausa”, „Dawyda”, „Jara” i „Szuma”). Niezależnie od tego w różnych rejonach Lubelszczyzny istniało także szereg drobnych grup i bojówek.

Z rąk podziemia w 1947 roku zginęło 310 osób, w tym 112 żołnierzy WP oraz 189 osób cywilnych i funkcjonariuszy MO i służby bezpieczeństwa. Podziemie winowskie, a następnie powinowskie, zamordowało co najmniej 120, NSZ-NZW — 15, a UPA — 21 osób. Jak poważnie zagrożona była Lubelszczyzna jeszcze w okresie po amnestii świadczy fakt, że od 1 maja 1947 roku do grudnia 1947 roku zanotowano na terenie województwa 742 napady, w trakcie których zamordowano 156 osób. Z instytucji państwowych zrabowano ok. 18,5 mln złotych.

Ta działalność pozostałości podziemia spotkała się ze zdecydowanym przeciwdziałaniem ofensywnym władzy ludowej. Specjalne grupy operacyjne WP, MO i służby bezpieczeństwa w okresie od 1 maja do 1 grudnia 1947 roku przeprowadziły ogółem 839 operacji. W tym czasie zlikwidowano grupę „Ordona” podległą „Żelaznemu”, grupę z bojówką „Szuma” i „Jara”, bojówki „Rysia” i „Zbika” oraz grupy z bojówek „Uskoka”, „Żelaznego”, „Wołodii”, „Dudy”, „Czausa” i „Dawyda”.

Główne zagrożenie dla ludności województwa w 1947 roku i w latach następnych przedstawiało podziemie powinowskie. Ono też podejmowało różne próby odbudowy organizacji, z jego rąk zginęło również najwięcej ludzi.

Do 1953 roku poległy lub zostały zamordowane w województwie 154 osoby, w tym 19 żołnierzy Wojska Polskiego, 1 żołnierz Armii Radzieckiej i aż 134 osoby cywilne, funkcjonariusze MO i służby bezpieczeństwa. Ponownie więc główny ciężar terroru resztek podziemia skoncentrował się na ludności cywilnej. W grupie ofiar podziemia coraz trudniej było weryfikować sprawców zabójstw. Wykonawcy wyroków coraz bardziej maskowali swoje zbrodnie. Dlatego też aż w 53 przypadkach sprawy śmierci pozostali nieznani. Większość z nich wywodziła się jednak z podziemia powinowskiego. Z ogólnej bowiem liczby 81 przypadków, gdzie sprawcy zabójstwa zostali ustaleniu, aż 74 było dziełem grup powinowskich.

Trudno też określić działalność tych bojówek mianem podziemia politycznego. Były to już zwykłe terrorystyczno-rabunkowe bandy, którym wygodnie było używać szyldu byłych organizacji wojskowo-politycznych polskiej lub ukraińskiej reakcji, dokonywać morderstw na tle politycznym, a rabunki przeprowadzać na własny, osobisty rachunek. Tak zresztą w historii kończyły się zawsze wszelkie działania kontrrewolucji. Taki jest bowiem bieg historii.

wypożyczanym każdorazowo pulpicie muzycznym. Z braku w pierwszych tygodniach tablic pisałem i rysowałem kolorowymi, fabrykowanymi przez siebie samemu, kredkami na arkuszach pakunkowego papieru, rozpinanych na frontowej ścianie sali.

Młodzież z braku domów akademickich mieszkała w najokropniejszych warunkach, nocując nierzadko na stacji kolejowej i w pozbawionych szyb wagonach, zalegających bocznice kolejową. Profesorowie i asystenci mieszkali przeważnie w zakładach. Wzrastala wprawdzie pomoc państwa, głównie dla młodzieży, lecz nie mogła ona radykalnie zaradzić panującej ogólnie biedzie. Niektórzy wybitni naukowcy zgłaszali się do pracy w stanie ogromnego wyczerpania fizycznego, w odzieży urągającej wprost pozycji naukowej, jaką reprezentowali. Przykładem tego może być następująca scena. Z początkiem 1944 r. wchodzi do gmachu Gimnazjum im. Staszica siwowłósy, brodaty i wynędzniały starzec z laską w ręku, w gumowych białych tenisówkach i z workiem podróżnym na plecach. W drzwiach gmachu zatrzymuje go (zmarły niedawno) woźny gimnazjum, Bogucki, i zapytuje: „A wy tu, dziadku, dokąd? Tu szkoła i nie nie dostaniecie. Idźcie między ludzi, tam was raczej wspomogą”. Jak wielkie było zdumienie woźnego, gdy z ust starca usłyszał słowa: „W gmachu tym mieści się Uniwersytet, którego jestem profesorem i organizatorem jednego z wydziałów”. Tym wynędzniałym starcem był czeigodny i przeznaczony prof. Janusz Domaniewski, wybitny uczony i pierwszy dziekan Wydziału Rolnego.

Pałający zawsze energią i inicjatywą rektor Raabe jak najczulszy ojciec troszczył się o odżywianie i odzianie każdego z przybyszów. Już jesienią wyjechał dla pracowników uczelni przywilej korzystania z jednodniowych obiadów w stołówce pocztowców przy ul. Pstrowskiego, a od stycznia 1945 r., dzięki przydziałom żywności oraz tzw. „trójkętnych” czyli zdobywczych artykułów odcieżowych, uzyskiwanych dzięki osobistym staraniom rektora u pre-

zydenta Bolesława Bieruta, premiera Osóbki-Morawskiego oraz ministra Przemysłu i Handlu Hilarego Minca, udało się zorganizować w suterrenach Gimnazjum im. Staszica pierwszą stołówkę dla pracowników, a wkrótce również tzw. Komisję Przydziałów Personalnych. Stołówkę, tę w której rolę kelnerek spełniały honorowo studentki i asystentki, przeniesiono po kilku miesiącach do podziemi gmachu przy ul. Głowackiego 2, a następnie na Plac Litewski 5. Pobory pracowników naukowych były początkowo nadzwyczaj niskie. Zapobiegliwy zawsze rektor Raabe rekompensował nam niedobory przydziałami droższych uzyskiwanych przez ministra Minca, które można było korzystnie sprzedać na rynku wiejskim producentom bimbru.

Bratnia Pomoc, stanowiąca początkowo jedyną organizację młodzieżową, znalazła rychło wsparcie ze strony jej przyjaciół, prezydenta Bolesława Bieruta oraz marszałka Michała Roli-Żymierskiego. Dzięki nim zorganizowano w styczniu pierwszą stołówkę studencką, do której wyposażenie, jak również poważne zapasy maki i kaszy, darowało wojsko ze zdobyczy wojennych spod Łodzi.

W takich oto warunkach wyrastało w murach lubelskich uczelni życie absolwentów, a wraz z nimi wychowywała się także starsza generacja pracowników naukowych.

Spoglądając dziś na nikiel zawiązki Lubelskiego Ośrodka Naukowego z 1944 r. i na jego poważne osiągnięcia organizacyjne i naukowe w Polsce Ludowej, możemy obiektywnie stwierdzić, że przez cały ten okres nie ustawiliśmy w walce o dobro, powagę i kapitał moralny nauki polskiej i że stworzony przez PKWN Lubelski Ośrodek Naukowy może się pochlubić nie tylko poważnym dorobkiem naukowym i dydaktycznym udziałem w walce o nowe oblicze Polski, a przede wszystkim wschodnich ziem polskich, dźwigających się szybko z wiekowego zacofania.

Gabriel Brzęk

Niechaj bym ja był Arystotelesem (III)

Adam Andrzej Witusik

W LIŚCIE z 1615 r. dawał Szymonowie wskazówki odnośnie peregrynacji zagranicznych Tomasza Zamojskiego. Zasadniczo odradzał hetmanowicowi udanie się w podróż zagraniczną. Argumentował: „Mając przed oczyma tak postronne, jako domowe lubo nieprzyjaźni, lubo niebezpieczności, na które natracą się osobie JMści wielka, a mało potrzebna przewaga. Przytem przerwanie zaczętej sławy, oderwanie się od służb ojczyzny, zaniechanie dozoru domowego, który, według starej przypowieści, daje się niedobrze plastować cudzej ręce lekciej, ale nieużytecznej”. Gdyby jednak hetmanowie wyruszył w podróż zagraniczną, to peregrynacja ta, zdaniem Szymonowicza, powinna mieć przebieg następujący: przede wszystkim przestrzegaj, aby „nie jeździć kątami, bo w cieniach i kątach nie się nie ujrzy, nie namaca”. Celem podróży powinno być zwiedzenie — poza niektórymi dworami książąt Rzeszy oraz niektórymi miastami i wyspą Maltą — ośmiu dworów: cesarskiego, weneckiego, florenckiego, papieskiego, hiszpańskiego, francuskiego, angielskiego i duńskiego, gdzie hetmanowie zawarliby znajomości „ojczyźnie i domowi” użyteczne, z senatorami wielkimi, z hetmanami wielkimi, z ludźmi rycerskimi i uczonymi”.

Tomasz Zamojski doceniał wkład Szymonowicza w jego wychowanie. W liście z Paryża z 1616 r. pisał on do poety: „Nigdy nie zapominał o trudach, które poniosłeś wychowując mnie i kształcąc w szlachetnych naukach... Nie ma też drugiego czło-

wieka, któremu bym w tym względzie więcej zawdzięczał niż tobie”.

Na koniec pytanie: czy prócz Tomasza Zamojskiego kierował poeta jeszcze czymś wychowaniem? Na tę skalę i na te rozmiary — nie. Kierując jednak edukacją Tomasza Zamojskiego, kierował także i wychowaniem tych, którzy wspólnie z hetmanowicem odbywali naukę. Byli to: Jan Żółkiewski, syn hetmana, Mikołaj Ostrogor, wojewódzie poznański, Mikołaj Potocki, wojewódzie braciński, Aleksander Prusinowski, wojewódzie belski, Marcin Uhrowiecki, kasztelan chełmski, Prokop Leśniowski, prawdopodobnie syn starosty rakiborskiego, Jan, Jerzy i Andrzej Drzewiecy, synowie starosty inowłodzkiego oraz Henryk Ungier, późniejszy podskarbi zamojski. Poza tym „ze szkoły” Szymonowicza wyszedł ojciec króla Jana III, wojewódzie lubelski Jakub Sobieski (opiekował się nim poeta podczas jego nauk w Akademii Zamojskiej), a gdy wyjeżdżał na studia zagranicę polecał go opiece filologa francuskiego Izaaka Casaubona i humanisty angielskiego Tomasza Segheta). Wiadomo także, że Simonides w czasie swoich częstych wyjazdów do Brzeżan, do Sienawskich — udzielał tam jakiejś nauki dzieciom tej rodziny. Spod ramion Szymonowicza wyszli również — pupil poety, późniejszy profesor prawa w Akademii Zamojskiej, Tomasz Drezner i kłóstrzeniec poety, z czasem profesor medycyny w Zamojskiej Wszechnicy — Kasper Solcius.

Kamena str. 5

STEFAN

STEFAN Fudko należy do ludzi tego pokroju, którzy w trudnym okresie ludowego państwa wykazali wiele ofiarności i hartu, natomiast w okresie stabilizacji pozwolili o sobie zapomnieć, jakby nie chcąc korzystać z owoców włożonej przez siebie pracy. Wykonane zadanie — taki ma być jedyny rezultat działania. A rozglądać się po korzyściach? To nie sposób postępowania tych ludzi, dla których samo spełnienie obowiązku jest wystarczającą nagrodą, choćby pamięć spełnienia rozplynęła się w codziennie doświadczanych, płynących z niego pożytkach. Ot, kiedy jest rok 1945, z materiałami budowlanymi krucho, a chłopci chcą się budować — wytrzasnąć skądś kilka wagonów wapna. Na tym się sprawa kończy. A że tam później nie wspomną, nie umieści ktoś w referacie, nie dadzą dyplomu? Grunt, że podreperowało się trochę gospodarstwo tego i owego, że skorzystała wieś. Czasem i w prywatnej pogawędce temat o to zahaczy.

Ponadto Stefan Fudko jest zdecydowanym antybiurokratą. Więcej: instynktownym. Naturalnym. Nie potrafiłby żadnej sprawy przeciągać przez przedpokoje, godziny przyjęć, dzienniki podawcze, segregatory. Albo coś zasługuje na podjęcie jako problem życiowy i żyjący, a wtedy angażuje do reagowania serdecznym ludzkim odruchem, albo od razu jest zwiedle, sztuczne, wymyślone i wówczas warte jedynej drogi: do kosza. O ileż byłby prostszy świat bez urzędników! Przecież najważniejszą dla socjalizmu rzeczą — rewolucji — nie da się przeprowadzić drogą służbową ani przestrzeganiem ustalonej pragmatyki. Na odwrót.

I jeszcze — jak najdalej od oficjalności. Nudzić się na niepotrzebnych zebraniach to śmiertelny grzech każdego działacza społecznego, który lepiej, jeśli pójdzie sobie na spacer, to przynajmniej przez odprężenie zdobywa siły do rzeczywistego działania. Słeczka beztreściwych słów, krzesło — sufity zbiorowej nudy, kołowaczna powtórka pod pozorami dyskusji — nie, to nie dla Fudki, który przeżywszy na tej ziemi parę ładnych lat nigdy nie dał się złapać w sieć uroczystych sloganów. Zawsze miał na nie celną odpowiedź: perskie oko, jak do strzału z tegiej lufy humoru. Nawet swoje zaproszenie na te szpalty potraktował — powiedzmy łagodnie — z daleko posuniętą rezerwą.

— Co? Chcesz o mnie napisać? Już to zostało zrobione. Sześćdziesiąt dwa lata temu.

— Sześćdziesiąt dwa? A co to była za okazja?

— Nieudana kąpiel pewnego amatora wody. Wskoczył do Prutu, a później go trzeba było ratować.

— Trzeba było...

— No, ja byłem najbliższy. A właściwie jedyne. I tak się po raz pierwszy dostalem „na łamy”. Później, wyobraź sobie... Był rok 1950. Ja w „Sztandarze Ludu”. Przychodzi do redakcji facet i pyta o „pana Fudko”. No i naturalnie: „Stefan, pamiętasz, jak mi uratowałeś życie?”

— ...
— Oczywiście, jeszcze wówczas ze szkiełkiem Broniewskiego miałem coś do czynienia. Ale to są już niegdyśjsze śniegi...

Stefan Fudko urodził się 75 lat temu — 29 listopada 1899 roku w Przemyślu, jako syn sztygara salinarnego. Zdobył zawód nauczyciela rysunków. Ale oprócz zawodu zdobył również grucielę, co mu nie pozwoliło na systematyczną pracę w szkole, a zmusiło do zarabkowania grafiką użytkową w trybie prywatnym. Wcześniej wstąpił do KPP. Kolo-myja, Lwów, Tarnopol, Warszawa —

to teren jego działalności jako organizatora klasowych związków zawodowych. W roku 1935 — już żonaty z nauczycielką — przeniósł się na stałe do Zamościa, gdzie spędził lata okupacji. Dwukrotnie (rok 1940 i 1942) aresztowany przez Gestapo, więziony w sumie 14 miesięcy, torturowany i prześladowany, szpiegowany i inwigilowany — doczekał się wyzwolenia.



Stefan Fudko

Fot. CAF

Po wyzwoleniu Zamościa, w dniu 25 lipca 1944 roku zgłosił się do członkami zdziękowanej komórki KPP do pracy partyjnej. Założyli Komitet Miejski PPR. Fudko otrzymał zadanie zorganizowania związków zawodowych.

— Więc organizowałem. Utworzenie organizacji pracowniczej — rzecz ważna, ale na głowę wali się przede wszystkim cały zdevastowany park maszynowy. Uruchomić zakłady. I tak lataliśmy — niekiedy dziury brakami — jak to nie raz było pokazane na filmach dotyczących czasów „zaraz po wojnie”, w końcu jednak fabryki i warsztaty ruszyły. U schyłku września zostałem mianowany sekretarzem Powiatowej Rady Związków Zawodowych, w której skład wchodziły 23 oddziały. Tylko dla mnie osobiście czas obrósł kołcami: zacząłem otrzymywać wyroki śmierci. I taka kolomyjka: jeśli poprzestaniesz na agitacji, perswazji, argumentach, to rychło to wszystko wraz z tobą zakończy pierwsza lepsza kulka wycelowana zza węgla, a jeśli roztoczysz wokół siebie zbrojne po-

gotowie, to żadna wtedy siła propagandowego oddziaływania. Ale widocznie łaskawy los miał w swoim dekrecie i to, żeby jeszcze dziś ze starymi znajomymi mógł wypić filiżankę mocnej kawy. Ale co to za lura!

14 września 1944 roku Stefan Fudko otrzymał nominację PKWN na pełnomocnika do spraw reformy rolnej w powiecie zamojskim. Termin przeprowadzenia podziału gruntów został wyznaczony na koniec roku. Niestety, z Urzędu Ziemskiego zniknął plan majątków w powiecie, bardzo też sceptycznie do sprawy odniósł się komisarz ziemski, który powodzenie reformy w tym terminie widział na tyle prawdopodobne, co wyróżnienie winnego grona na jego dłoni. Mimo to 30 grudnia Ordynacja Zamojskich przestała istnieć. Mógł o tym Fudko zameldować Komitetowi Wojewódzkiemu PPR jako jeden z nielicznych pełnomocników powiatowych, którzy reformę w wyznaczonym terminie przeprowadzili.

sób przychylić ku sobie szalę ludowej rekompensaty. Jak również — być posądzonym o to, że jest się rzecznikiem dawnego porządku, kiedy ktoś obstawał przy porządku po prostu, porządku bez przymiotnika. W pierwszym wypadku przedwczesna ufność, w drugim — nieuzasadniona podejrzliwość. Mnie jakoś udało się obie te kraciowości ominąć. Powtarzam: znałem wieś. Ponadto starałem się o to, żeby majątek w trakcie parcelowania nie był narażony na grabież i dewastację, a to był potężny argument na rzecz „mojej” reformy u zamojskich chłopów.

Następnym stanowiskiem Fudki było stanowisko I sekretarza Komitetu Miejskiego PPR, jeszcze późniejszym — prezesa Powiatowego Zarządu Związku Samopomocy Chłopskiej i jeszcze — prezesa Powiatowej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej (późniejszy PZGS).

— Rotacja zajęć, powiedziałbym, dość niezwykła.

— No, to był czas naładowany, a niekiedy nawet przeładowany treścią i następstwem wypadków, które sobie deptały po piętach, więc trzeba do niego przyłożyć inną miarę. Mnie to osobiście odpowiadało. Nie lubię rutyny i chętnie zawsze widzę nowe pole działania, jeśli się przede mną otwiera. Pracowałem jeszcze w „Chłopskiej drodze”, jako jej lubelski korespondent, zaoferowano mi następnie w tej gazecie funkcję kierownika wszystkich mutacji terenowych. Pojechałem do Warszawy nie tyle po nominację, która już była gotowa, co po mieszkanie. Niestety, dawano mi jeden pokój i to w Rembertowie, a ja jako żonaty potrzebowałem co najmniej dwu pomieszczeń i miejsce zamieszkania w miejscu pracy jako kierownik mutacji. Z mieszkania wyszły nici, więc wróciłem do Lublina „wypożyczony” na pewien czas „Sztandarowi Ludu”.

— Pożyczka okazała się bezzwrotna.

— Tak, z „Chłopską drogą” rozstałem się na zawsze.

By stać się jedną z najcharakterystyczniejszych postaci wczesnego okresu „Sztandaru Ludu”. Przybądź Muza pamięci! Te nie kończące się, zawsze zasilane nowymi okazjami dyskusje na temat wykorzystania torfu, nigdy nieskuteczne dla ówczesnego sekretarza redakcji, który ponoć nie odróżniał żyta od sara-deli! Te godziny w zadymionym „górnikiem” pokoju spędzane nad adiustacją reportaży, w które sakramentalnie wypychały się różne „zapyłone drogi” i „samochody jak blaszane żuki” w charakterze odkryć stylizacyjnych! Te pośpiechy z likwidowaniem dziennikarskich biur i ustawianiem — ping-pongowego stołu, kiedy już wszystkie „drogi” i „żuki” zostały z maszynopisów przepędzone! Stefan Fudko obracał się w tym młynie znając jego zdrowe stęgnięcia i chore momenty ciszy, co nieco mając powody do pobłażliwości w stosunku do adeptów, którzy do dziennikarstwa wystartowali z pozycji co najwyżej korespondentów, ale nigdy nie utrzymując dystansu wobec młodszych kolegów, a zwłaszcza takichże koleżanek. Był sobą. Sobą antyschematycznym, koleżeńskim, pracowitym, nie wrogim towarzyskiej, filareckiej rozrywce.

Później przyszły zajęcia w Związku Łowickim i Towarzystwie Wiedzy Powszechnej już jako preludium do dobrze zapracowanej emerytury. Osiągnął ją — i postawiony poza obszarem ruchu nie dał się poznać jako rozczulony, zapomniany. Są towarzysze z lat dawnych, którzy odwiedzają swojego zamojskiego druha, ale nie czynią tego instytucje i ugrupowania, w których Stefan Fudko zostawił dobrą pamięć swojej osoby. Może nawet sam się do tego nie wrywa?

Mimo to — attention, młodsze pokolenie! — jest jakaś samodziśająca aura towarzysząca tej jednej z najbardziej charakterystycznych lubelskich postaci. Wiele z lubelskiego „było” jest związane z tym imieniem i nazwiskiem. Wiele przy czarnej kawie można się jeszcze dowiedzieć.

— Zaraz, ta kawa. Co ja mówiłem? Lura? Chyba przesadziłem. Całkiem daje się pić.

Rozmawiał i notował
Zygmunt Mikulski

GDY w 1932 roku grupa młodych warszawskich malarzy, byłych uczniów Tadeusza Pruszkowskiego, którzy zrzucili się w „Bractwo św. Łukasza”, urządziła trzecią już wystawę w warszawskiej „Za-encje”, można było na niej dostrzec — nie tylko jak na pierwszy rzut oka — objawienia niewątpliwych talentów, ale i efekty samodzielnego ich rozwoju po opuszczeniu pracowni wspólnego mistrza. Krytyka artystyczna na pierwszych miejscach w recenzjach z tej wystawy wymieniała Antoniego Michalaka. Mieszka on po dziś dzień w Kazimierzu nad Wisłą, w domku z pracownią wzniesionym u stóp baszty zamkowej, przytulonym do skarpy opadającej stromizną wprost ku Wiśle i tak dziś zaroiętym drzewami, że tylko późną jesienią i w zimie można zobaczyć dach, gdy się go poszuka wzrokiem wjeżdżając do miasteczka od strony Lublina.

Na ówczesnych wystawach zaskakiwał Michalak wielkimi płótnami, potraktowanymi z gotycką ekspresyjnością, zatopionymi w potokach barokowego dematerializującego światła. Postacie z jego dramatycznych ukrzyżowań, przegięte wyrazistym, na pół tanecznym, na pół bolesnym gestem, miały twarze kazimierzowskich chłopów i były umieszczane na tle rekwiizytów tułaczkiego pejzażu z zamkiem, basztą i farą górującymi nad wstęgą rzeki. Kolorystyka ciemna i nasycona, w niektórych obrazach, jak np. w „Bajce o szczęśliwym człowieku” — co to nawet nie miał kosztu — grał ostrymi, dzwięcznymi tonami jaskrawych żółci, czerwieni i zieleni rzuconych na szaro-błękitne tło drewnianej zabudowy miasteczka, nad którym królował, znów bajecznie kolorowy, luk tęczy.

Cale „Bractwo” charakteryzowało się znakomitą opanowaniem rzemiosła, umiejętnością malowania tak, jak dawni mistrzowie, zamilowaniem do precyzyjnego, opisywającego każdy przedmiot, rysunku. Stąd też ich obrazy, często ciemne i z refleksami ostrego światła, miały ów „muzealny ton”. Dlatego też malarze ci mogli tak dokładnie przedstawiać detale, sięgając — jak na twarz staruszki, potraktowanej — powiedzielibyśmy dzisiaj — hiperrealistycznie. Potrafili namalować nadmuchany kieliszek lub butelkę tak, jak na siedemnastowiecznych martwych naturach, w czym zresztą celował kolega Michalaka, Jan Gotard. Ale i Michalak nie unikał takich popisu trudnych motywów, w których można błysnąć ostrością spojrzenia i techniczną maestrią wykonania. Dowodem — chociażby czarna półprzezroczysta chusta, zawieszona u ramion krzyża i przesłaniająca ciało Chrystusa w „Ukrzyżowaniu ze św. Magdaleną”, znajdującym się do czasów renowacji i nowej dekoracji wnętrza w kaplicy KUL-u, wymodelowana podwójnym światłem lejącym się z góry, rysującym całą scenę, kładącym się na fałdach owej materii jasnymi plamami oraz światłem przenikającym przez

nią z drugiej strony, od strony pejzażu i prześwitującego przez nią ciała ukrzyżowanego.

Umiął Michalak sporządzać niezbędne dla takich efektów, a zapomniane i od impresjonizmu zarzucone zupełnie, laserunki z najcieńszych, żywicznie klarownych warstw farby, wielokrotnie nakładanej na wcześniejsze podmalówki z bielei kładzonej impastami, dzięki czemu forma nabierała brylowatości, a kolor uzyskiwał głębię i świecił barwą jakby od wewnątrz, od najgłębszych swych pokładów. Znal alchemiczne niemal tajniki starej i bardzo trwałej techniki malarzkiej — tempery na drewnianym podobrazie. Potrafił sporządzić klasyczny fresk zdobiący prezbiterium kościoła w Zagłobie. Wraz z kolegami z „Bractwa” brał udział w wykonaniu wielkich paneau na wystawę światową w 1939 r. w Nowym Jorku, a w 1948 r. malował wielkie płótna o podobnie dekoracyjnym charakterze na Wystawę Ziemi Odzyskanych we Wrocławiu. Z tym miastem związał się na dłuższą ratując bardzo zniszczoną polichromię Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego i wykonując witraże w odbudowanej po wojnie katedrze, wśród nich wielki witraż w północnym oknie transeptowym. Z witrażownictwem był zresztą obeznany już dużo wcześniej, gdyż w latach 1936—38 opracował pro-



Antoni Michalak: „Exodus”, 1934, olej

W Paryżu kopiował Ribere

Konrad Szurowski

jekty dwóch dużych okien w katedrze warszawskiej, z których jeden zdążył zrealizować. W latach trzydziestych ozdobił plafonami wnętrza nowego sklepu Wedla przy ul. Szpitalnej w Warszawie, wraz ze Stanisławem Telszym opracował projekt polichromii byłej katedry unickiej w Chełmie. Wcześniej też dał się Michalak poznać jako wzięty portrecista, którą to specjalność kontynuuje po dzień dzisiejszy.

Wymowna jest ta rozpiętość możliwości, choćby tylko technologicznych, umiejętność sprostania tak różnorodnym formom społecznego zapotrzebowania. O rzetelności traktowania każdego zadania mogą natomiast świadczyć podróże do Paryża, Bourges, Chartres, aby zapoznać się z arcydziełami średniowiecznego witrażownictwa, kontakty z Mehofferem, firmą Zeleńskich w celu

rozszyfrowania tajemnic techniki budowania szklanych obrazów, czy wypadki do Krakowa, aby do kolejnych ukrzyżowań studiować krakowskie gotyckie krucyfiksy.

Pamiętajmy też, że Michalak był uczniem T. Pruszkowskiego, którego słowa bardzo tu będzie na miejscu zacytować: Głównym celem moim, o którym zawsze pamiętam ucząc, jest wykształcenie uczniów w rzemiośle malarzskim na tyle, aby gdziekolwiek się znajdą, mogli utrzymać się na powierzchni życia i nie potrzebowali liczyć na łaskawość i protekcję... A więc ideałem jest nie skłócony z życiem i społeczeństwem przedstawiciel cyganerii, ciagle niezrozumiany i przeważnie bosy, lecz artysta, który dzięki wiedzy, dzięki nabytym umiejętnościom potrafi sprostać każdemu zadaniu.

W drugiej połowie XIX w. triumf impresjonizmu zadał cios malarstwu pracownianemu, obrazowi rodzącemu się długo, czasem przez wiele miesięcy, czasem i przy współudziale uczniów mistrza mieszających pigmenty w moździerzach. Maluje się odąd szybko na kupowanych w sklepach już zagruntowanych płótnach, farbami produkowanymi na skalę przemysłową, wyciskając je niekiedy na obraz wprost z tuby. Mało kto pamięta jakich barwników mieszać ze sobą nie należy lub nie wolno, jak sporządzić niezawodny grunt, jak nawarstwiać kolejne podkłady farb. Nie ważne, czy obraz będzie w stanie przetrwać setki lat, ważne, czy liczy się dziś. Problematyka artystyczna-formalna odsunęła sprawę niezmienności dzieła w czasie, jego doskonałości jako przedmiotu, na plan dalszy. Niekiedy nietrwałość jego materialnego kształtu jest przez twórcę zamierzona, albo nawet rezygnuje się zeń zupełnie.

Przed prawie pięćdziesięciu laty, niedługo po wystąpieniach polskich formistów, równolegle w czasie z początkami działalności naszych suprematystów i konstruktywistów oraz... kolorystów T. Pruszkowski stawia na opisanie warsztatu, malarzkiego rzemiosła, uczy, jak radzić sobie z dużą dekoracyjną pląszczyzną, zaleca komponowanie wielopostaciowych układów figuralnych, zaleca kopiowanie dawnych mistrzów. Michalak w czasie pierwszego pobytu na stypendium w Paryżu nie rzuca się w wir francuskiej „izmów” — kopiuje w Luwrze Ribere. Czy to tylko anachronizm?

WIERSE POETÓW GRUZIŃSKICH W TŁUMACZENIU BOHDANA ZADURY

Józef Grizaszwili

LOS GENIUSZY NA TBILISKIM BAZARZE

Na bazarze w kurzu, w woni zgniłej,
Położono sześć funtów na wadze
I wśród księżek, które tam kupilem
Był Rustaweli i Czawczawdze.

„Własność Tekli” — stało w drukowanej
Za Wachtanga księżce, zaś skończonymi
Literami w drugiej napisane
„Cóż się martwić laty minionymi”.

W trzeciej — miłość Julii i Romea
Jęk z prowincji ślota zawodzący,
W jeszcze jednej liść tytoniu leżał
Niby cnota starej panny tchnącej.

Pomyślałem siebie sam pytając,
Kim jest człowiek, co je wyniosł z domu,
Na pokowy papier przeznaczając
Tyle starych pism i starych tomów.

Maże ciśnie go straszliwa bieda?
Maże chory, ginie od gorączki?
I dlatego chce za grosze sprzedać
Szlachetnego pochodzenia księżki?

Oto, gdzie się wala nasza sława!
Wstyd aż włosy podniosł mi na głowie!
Oto gdzie się Gruzi głos sprzedawa,
Moi wielce szanowni przodkowie!

I nie wierzę w ową prawdę gorzką,
Ze złośliwy się los znów okaże,
Ze ktoś z moją takie stanie księżką,
By na takim sprzedać ją bazarze.

Szedłem niktą jak blask o wieczorze
I w ślad za mną szła myśl o przyszłości
Wzrastał w sercu jak truciźny morze
Smutek w sadzie Poezji wyrosły.

1927

Alijo Mirechulawa

KOLYSKA

I pamięć matki, i jej obraz — święty,
Sen mi się dziwny przysnił, niepojęty!
Ujrzałem białe, wyrzeźbione pręty
Kolyski swojej w owym śnie zaklętym.

Podobna mi się tak do liry zdołał
I przycisnąłem ją do serca swego,
Zdawalo mi się, cicho gdy skrzypiała,
Ze znowu słyszę głos dzieciństwa mego.

1946

Otar Czelidze

PIĘCIOGROSZOWY DESZCZ

Z chmur już nie siąpi od wieczora,
Lecz chociaż ustał dawno deszcz ten,
Z gałązek lipy zmokłej wczoraj
Kropie czasami kapią jeszcze.

Oto najlepsze jest lekarstwo,
Co me pęknięcia wszystkie goł.
Ku kropkom wyciągnęłam garść swą,
Ażebym żadnej nie uronić.

Nie ruszam się, spokojnie stoję
Z ręką przed siebie wyciągniętą,
Czekam, aż spadną w dłonie moje
Kropie z gałązek przemokniętych.

Lecz czas jak lekarz je dozuje
I rzadkie kropki nie chcą kapać...
Wtem się przechodzień zatrzymuje
I rzuca w moją garść piątaka.

Przytomność szybko mi wróciła,
Jakby kto wiadro wody wylał...
Czyżby tak tanio kosztowała
Wśród ludzi zapomnienia chwila?

1960

Dopiero kiedy powódź zajmie popielniki, do ewakuacji skory. Ale domy mieszkalne tu się buduje na wzgórkach.

Wiele nieszczęść tej powodzi polega na tym, że ona jest jesienią, a nie — jak co roku — na wiosnę, kiedy obory puste, bo zwierzęta sprzedane w większości, stodoły też pustawe, bo siano i słoma na wykończeniu, a zboże dawno wymłócone. Ze ta powódź jesienią właśnie, kiedy siano na łące, zboże w stodole, zwierzęta niedopasione i do zbytu nieprzygotowane, a kartofle nie wykopane. Ze powódź uciążliwa i długotrwała, bo wiosenne wody w tydzień zejdą z pół. A w ogóle to takiej jesiennej powodzi najstarsi ludzie nie pamiętają; chyba ze sto lat, jak podobnej nie było. „Potop jakby, dopust boży” — pojąkują starowiny z okiem wznieścionym do góry.

I jeszcze chodzi o to, że wielu chłopów najęło się jako wozacy w dalekich przedsiębiorstwach. Wyjechali na dłuższy czas, jak co roku jesienią porą, żeby świeżego grosza do chałupy przywieźć. Zostały więc na gospodarce baby, starcy i dzieci. Aż tu nagle dopust taki. Stają teraz na progach swych zalanych domostw i pilnie wypatrują łódek z paszą, węglem, naftą...

Wody Bugu zaczęły przybierać już na początku października, al. wyglądało to jak zwyczajny jesienny przybór. Potem jednak przyszedł ulęwy i po trzech tygodniach na rzece był już stan alarmowy — 350 cm! Aż wreszcie ten huragan w ostatnim dniu miesiąca. Skoszone słupy telefoniczne i elektryfikacyjne. Drewniane, betonowe i żelazne. „Jak zapalki” — pisała prasa codzienna w Lublinie. I drzewa legły w poprzek szos. Woda przybierała po kilkanaście centymetrów na dobę, deszcze padały nadal.

Włodawa była odcięta od świata przez pięć dni. Nie było światła w mieście i całym powiecie. Nie było połączeń telefonicznych z Lublinem, sąsiednimi powiatami, własnymi gminami i wioskami. Stały zakłady pracy w mieście: garbarnia, dwie huty szkła, POM, suszarnia i mieszalnia pasz. Linia zasilająca wysokiego napięcia Chelm—Włodawa była nieczynna, żelazne kratownice słupów poskręcane, druty zerwane. Wiele dróg lokalnych nieprzejezd-

nych. Bug rozlany kilometrami. Groził niedostatek zaopatrzenia. Krajobrazy pół bitewnych.

We Włodawskim znalazłem się 9 listopada, kiedy już sytuacja została jako tako opanowana — wedle urzędowych zapewnień. Jeszcze tego dnia „Sztandar Ludu” donosił o „około 1500 gospodarstw w mniejszym lub większym stopniu zaatakowanych wysoką falą” w powiecie włodawskim. Inż. Bolesław Demianiuk, wiceprzewodniczący Powiatowego Komitetu Przeciwpowodziowego, poinformował mnie, że zagrożonych, czyli odciętych przez wodę, jest 307 gospodarstw w powiecie (dwa w samej Włodawie), z tego 13 rodzin ewakuowano; przygotowanych do ewakuacji — 25 rodzin. Najtrudniejszy rejon: Pawluki—Hanna—Światycze—Nowosiółki—Mościce. Cała w ogóle dolina Bugu. Straty powiatu w dziedzinie melioracji — około 23 mln zł (oberwanie skarp, rozmycie przepustów, jazów, zastawek). Uszkodzenie dróg lokalnych — na 21 mln zł. 300 ha zatopionego siana w rejonie Bugu. Straty w produkcji przemysłowej w ciągu tych pięciu dni, kiedy zabrakło energii elektrycznej — 30 mln zł. 4 000 wniosków w PZU z tytułu szkód w gospodarstwach indywidualnych w związku z huraganem. Szkody powodziowe będzie się liczyć po wszystkim. Stan wód Bugu 9 listopada — 460 cm. W ciągu poprzedniej doby przybyło 8 cm, w ciągu ostatnich 12 godzin — 8 cm. Szerokość rozlewiska Bugu — 3 km.

W dwa dni po huraganie ruszyły masarnie i piekarnie we Włodawie, uruchomione przy pomocy agregatów dostarczonych przez wojsko i zakłady przemysłowe. Początkowo zaopatrzenie wożono z Lublina i Radzyna. Kierowcy jeździli z piłami i cięli pnie powalone na szosach, żeby utorować drogę swoim samochodom. Tak było pierwszego dnia, zaraz po wichurze. Ruszyło więc zaopatrzenie — chleb, mięso, konserwy, nafta, świece, lampy naftowe, których jednak nadal brak, choć istniejący w PZGS zapas wystarczał w normalnych warunkach na trzy lata, brak baterijek do latarek.

Włodawa ma już światło i łączność telefoniczną z szerszym światem, funkcjonuje przemysł. Gorzej w samym powiecie, ale dla PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych zorganizowano pomoc natychmiast; w następnej kolejności — urzędy gmin. O wielkiej robocie ekip elektryków i monterów linii telefonicznych napisano już niemal wszystko. Szybciej się buduje nową linię, niż demontuje i naprawia

POTO

starą, często po pas w wodzie i bloku. Poganiać tych ludzi nie ma sensu! Przyjechali tu z wielu stron kraju i zostaną dopóki będą potrzebni.

Łodzie, pontony i amfibie — ten sprzęt ściąga się, skąd tylko można. Dostarcza go wojsko i wojsko go obsługuje. Wiele przyszło z ośrodka sportów wodnych nad jeziorem Białym. Kiedy przyjechałem, akurat nadszedł transport łodzi z Powiatowego Zarządu Gospodarki Wodnej i Melioracji w Bochni — kilkanaście godzin, dniem i nocą, wieźli sprzęt „żubrem”. Trzeba zorganizować transport między sklepami a odciętymi przez wodę gospodarstwami, dostarczyć żywność, paszę, węgiel, ewakuować ludzi i zwierzęta. Ponieważ łączność telefoniczna jeszcze z terenem bardzo słaba, wykorzystuje się krótkofalówki, ściągnięto nawet amatorów-krótkofalowców. Gdy rozmawiałem z inż. Demianiukiem, wszedł do pokoju jeden z nich i położył na biurku meldunek: „Więś Siedliszcze potrzebuje dwu łodzi do przewożenia paszy”. W Jablecznej woda odcięła klasztor i seminarium prawosławne — 30 kleryków i 14 rodzin. Zaopatruje się ich amfibiami, z pomocą ludzką, a ściślej — wojskową!

9 listopada w samych tylko gospodarstwach indywidualnych było w powiecie 1 275 ha nie wykopanych ziemniaków, w tym 500 ha w ogóle nie do wykopania — zalane wodą, chyba już gnijące. Na 10 listopada zaplanowano ukończenie wykopków kartofli przynajmniej w PGR-ach i spółdzielniach

Światowe niepokoje w Kazimierzu Dolnym

Dokończenie ze str. 1

Wspólnoty niezależnej od ustroju, stopnia rozwoju gospodarczego, tradycji myśli urbanistycznej, jaka ukształtowała dzisiejszy wygląd miast. Różnorodnie przebiegające dotychczas procesy modelujące otoczenie człowieka starły się dziś z uniformistycznymi tendencjami budownictwa, mającymi swe źródło poza sferą twórczą działalności architektonicznej. Stąd uniwersalizm zagadnienia, mimo indywidualnych różnicowań wynikających choćby z kwestii ustrojowo-prawnych, poziomu techniki budowlanej itp.

Pojęcie zespołów dawnej zabudowy, użyte w tytule seminarium, wykroczyło daleko poza potoczne rozumienie „starego miasta” — historycznego jądra o średniowiecznej zazwyczaj metryce. „Starymi miastami” stają się w istocie wszelkie obszary zabudowane w czasach poprzedzających epokę budownictwa metodami uprzemysłowionymi, ukształtowane w sposób „niedziśniejszy” technologią, która w zasadzie stanowi już zamknięty rozdział. Dramatyczność sytuacji wynika z szybko rozbudzonej świadomości przemijania, która nie pozostawia czasu na naturalną selekcję.

Wobec intensywnego nasycania otoczenia formami nowymi, wielokrotnie powtarzanymi, cechującymi się daleko idącymi uproszczeniami, szybko nastąpiło względne starzenie się stosunkowo młodych twórców i chęć ich zachowania. Dla starożytników XIX wieku, jak np. dla Kazimierza Stronczyńskiego, naprawdę zajmującymi były zabytki średniowieczne i renesansowe. Dystans wynosił więc ponad dwa stulecia. Jeszcze przed dwudziestą laty granicą zainteresowań był neoklasycyzm i romantyczny neogotyk. Dystans skrócił się więc o stulecie. Dziś niepisana umowna cezura stanowi rok 1939, zatem dzieli nas od niej zaledwie 35 lat. Ale tylko formalnie, faktycznie przebiega ona między dzisiejszym i niedziśniejszym sposobem kształtowania formy i wnętrza miejskiego.

Tak więc owe tytułowe „ensembles anciens” to obszary zabudowane w okresie przed upowszech-

nieniem się w danym kraju metod uprzemysłowionych i budownictwa wysokiego, a ściślej mówiąc — ponieważ określenie wysoki jest względne — budownictwa wykraczającego poza moduł dominujący na pewnym terenie. Nie byłoby tu właściwe operowanie pojęciem skali tradycyjnej ze względu na jego zmienność. Skala kamienne czynszowych i gmachów użyteczności publicznej XIX wieku równie oddlegała od tradycyjnych relacji urbanistyki średniowiecznej i nowożytnej, jak skala obecnego budownictwa w zestawieniu ze spuścizną poprzedniej epoki. Dziś stosowany moduł też wkrótce stanie się tradycyjnym, tak jak do tradycji należy już wódz „zorów” i „emdeemów”.

Problem wykracza więc daleko poza zagadnienie czysto konserwatorskie ochrony historycznych układów przestrzennych. Chodzi tu już w ogóle o kształtowanie zastanych wewnątrz miejskich harmonii, kulturalnie, bez żywiołowych dysonansów. Wśród konkluzji seminarium były więc wyraźne stwierdzenia, że o formowaniu nowych realizacji w dawnych zespołach miejskich nie mogą decydować wyłącznie interesy inwestora i nie ograniczona dyscypliną inwencja projektanta.

Jak wobec tego należy projektować dla zespołów dawnej zabudowy? Wszyscy uczestnicy spotkania byli zgodni co do tego, że architektura ta musi być wyrazem naszych czasów. Nasuwa się w tym miejscu przekorne pytanie, czy architektura podporządkowana zastanemu łańdowi, który jest rezultatem całkowicie odmiennych uwarunkowań, może być naszych czasów wyrazem? Architektura wyraźnie kępowana tym łańdem, dążąca do wyłamania się z jego rygorów? Czy są wyrazem naszych czasów nowe konstrukcje skryte za parawanem eklektycznych elewacji, lub aktualnie wznoszone kamienice, które wysokimi dachami, poziomami kondygnacji, wielkością i rozmieszczeniem otworów podporządkowane są zabytkowemu sąsiedztwu? Pytania te rodzą się zwłaszcza wtedy, gdy architekturę pojmujemy dialektycznie, nie tylko jako akt twórczej kreacji, ale jako rezultat wszystkich oddziałujących na ostateczny efekt czynników a w tym również i dążeń inwestora.

Stosunek do tych ograniczeń można zilustrować przykładem niedawnej operacji „Maison Dorée” przy Boulevard des Italiens w Paryżu. Duża nowa kubatura gmachu bankowego na żądanie czynników konserwatorskich skryta została za kurtyną fasady z 1840 roku. Reprezentujący inwestora architekt, mimo udanego w efekcie mariażu, nie ukrywa swej opinii o „ignorancji i niekonsekwencji ludzi, którzy chcą ocalić wszystko, a nie uratują niczego”. Jego argumenty są jednocześnie motywacją inwestora: ten konserwatorski „kaprys” podrożył budowę o 10 milionów franków, co stanowi 1/4 całości kosztów. Konkluzja — „La France et la bourgeoisie sont ruinées”.

Jednakże będzie chyba taka architektura wyrazem naszych czasów, jeżeli weźmiemy pod uwagę nowy czynnik wpływający na jej kształtowanie: coraz głębszą świadomość potrzeby ochrony zurbanizowanego środowiska kulturowego. Z tym, że trzeba jednocześnie przyjąć, iż w wyniku oddziaływania takiego czynnika powstał w naszych czasach nowy gatunek architektoniczny, twórczość skrepowana dyscypliną narzuconą przez lokalizację w historycznie ukształtowanym zespole.

Rozpiętość kryteriów oceny stosowanych w tej dziedzinie już dziś rysuje się dość ostro. Część uczestników seminarium dla postawienia noty pozytywnej zadowalała się podporządkowaniem linii zabudowy i gabarytu sąsiedztwu oraz ukształtowaniem elewacji w sposób, który nie stwarzałby dysonansu w zespole. Stąd jako korzystne efekty rekomendowano nawet lekkie przeszklone elewacje między ciężkimi fasadami oblepionymi historycznym ornamentem. Ale były też przykłady o większym stopniu trudności. Bryły stanowiące współczesną transpozycję kształtów historycznych, fasady, których optyczny ciężar, stosunek masy ściany do otworów, starał się być zrównoważony z sąsiedztwem. Były przykłady nowej tkanki, którą można by określić jako kosmopolityczną oraz, z drugiej strony, nawiązującą do lokalnych tradycji architektury.



Lubelskie Stare Miasto

produkcyjnych. Starsze dzieci i młodzież zwolniono ze szkół, niech pomagają rodzicom. Kopia zresztą wszyscy: żołnierze, pracownicy instytucji i zakładów, członkowie organizacji społecznych. Tylko pewien dyrektor przy okazji tych prac „zorganizował” sobie kilka worków ziemniaków. „Dziękujemy za ziemniaki, panie dyrektorze” — rzekli rolnicy. Czasem jakaś szuja też się znajdzie!

Do Nowosiółek dojechałem jakoś swoją „syreną”. W Lisznej skręca się na wało-drogę, prowadzącą właśnie do Nowosiółek. Z jednej strony obdarte żalane, z drugiej — suche. Po to w końcu ta wało-droga, wyniesiona ponad teren gospodarskich zabudowań i opłotków, żeby po zablokowaniu przepustów skutecznie izolować nawiedzone powodziami tereny, którym i tak niewiele już pomóc można. W Nowosiółkach przesiadam się na chybliwą

łódkę, obsługiwaną przez dwu miejscowych kawalerów. „Do nas się przyjeżdża w gumniakach, a nie w pantofelkach jak nad jezioro Białe latem” — powiadają i mają rację. Znajduję się na terenie, gdzie 30 wioszek stoi w wodzie w nieprzeprywanym 15-kilometrowym ciągu. Red. Harasimuk ze „Sztandaru Ludu” był tutaj podobno w butach-fenomenach rybackich.

Gramolę się z łódki w zabudowania gospodarstwa, które prowadzi sama jedna i niemłoda już kobieta, „starsza panna” — jak powie później sąsiadka. W obórcie stoi woda i... lekarz weterynarii, przywieziony przez żołnierzy wojskową łodzią, na którą się potem przesiaduję.

— Panie lekarzu — mówi kobieta — krowa coś żółte mleko daje.

— Tu jest dobrze żyć w maju, zielono, ptaszki ćwierkają, ale nie teraz. Wczoraj w nocy płynęliśmy do krowy, która nie mogła się ocieplić, łódka nam poszła na Bug, zniosło, stracha miałem — zwraca się do mnie lekarz. — Niech pani wyprowadzi tę krowę.

Zwierzę jest utylane w gnoju i ospale. Lekarz czyni swoją powinność, zastrzyk w szyję krowy, zapuszcza lekarstwo do wymienia.

— Bakteryjne zapalenie wymienia — orzeka krótko. — Do cielaka nie wolno jej przypuszczać.

Płynę dalej po tym przedziwnym krajobrazie, gdzie nad wodę wystają korony drzew tylko, górne części płotów. Płynę nad wiejskimi drogami, łąkami. Jak w surrealistycznym śnie.

W pobliskiej zagrodzie też wita nas starsza kobieta.

— Potop, panowie. Prosiłabym bardzo o dowiedzenie węgla z Nowosiółek, my tu łódki nie mamy.

Zabieramy ją ze sobą i wtedy się dowiaduję, że siano jej w kopcach popłynęło, ziemniaki nie wykopane w wodzie, mielone dopiero dzisiaj do sklepu dowieźli, sąsiad łódki nie chce pożyczyć. Cała litania powodzi. Żołnierze, którzy się solidnie napracowali przy wiosłach, opowiadają mi, że obiady jedzą w nowosiółeckiej restauracji, czyli gospodzie, a śpią w miejscowym klubie „Rolnika”. Zresztą po 16.00 robi się już ciemno i trzeba związać interes.

Wracam tą samą wało-drogą wraz z inż. Panasiukiem z Powiatowego Zarządu Gospodarki Wodnej i Melioracji we Włodawie. Zatrzymuję się

na moment. W łodzi wojskowej siedzi starowina, przytulona do ogromnej wiejskiej skrzyni. Na dnie łodzi leży trzęsące się z zimna prosię. Ewakuowani.

— W domu został mój chory, trzeba by go do szpitala. I została krowa też, córki nie daly, same będą ją karmić. Mnie do roboty siły nie staje. Chciałam zabrać dziewiętnaście kurek, z kogutem będzie dwadzieścia, ale do worka je zaczęli wzdawać, poduszają się — oznajmia kobieta.

— Przepust otworzyć, wodę na drugą stronę przeprowadzić i będzie u nas sucho! — zajądło wykrzykuje jakiś jegomość. — Cholery, urzędniki... — goni nas jego głos.

Inż. Panasiuk jest młody, ale to i owo już na tym świecie widział.

— Otworzymy przepust, zalany niewiele pomoże, a wyprowadzi powódź na drugą stronę drogi, jeszcze suchą. Wało-drogę do Pawluk sami nocą przekopali i zaczęło się nieszczęście, droga rozmyta. Ledwo zapobiegliśmy. Ale ludzie nie rozumieją — powiada.

Kiedy przejeżdżamy koło Dolhobrodów, przypominam mi się, że latem byłem tutaj u rolnika, który w szopie budował... wodolot. Wtedy wydawało mi się, że tkwi w tym jakaś metafizyczna niemal tęsknota za życiem innym, lepszym, szlachetniejszym. Może i tkwi. Lecz może to jest całkiem realistyczna potrzeba na tych nadbużańskich terenach?

W kilku powiatach ogłoszono stan alarmowy. Powołano sztaby ludzi, którzy codziennie radzą nad rozwiązaniem ciężkiej sytuacji. Wojewoda ogłosił zarządzenie „w sprawie wprowadzenia obowiązku świadczeń osobistych i rzeczowych w celu zwalczania klęski żywiołowej spowodowanej nadmiernymi opadami atmosferycznymi”. Obradują egzekutywy komitetów Partii. Wysła się codziennie w teren ekipy ludzi. A tu sąsiad sąsiadowi nie chce łódki pożyczyć, przepust zamierza rozkopać, bo jego jest tylko to, co po tej stronie drogi, tamto sąsiadskie się nie liczy.

Przyznam, że w takich przypadkach ogarnia mnie nie tyle zdziwienie, co zwyczajny wstyd. Bo tu się zaczynają wylaniać jakieś sprawy niezbyt krzepiące. „Bywa różnie, panie, bywa różnie” — powiadają ludziska.

Maciej Podgórski

Fot. J. Mirosław

W polskich wystąpieniach na seminarium rysowała się, niestety, rozbieżność między teorią i praktyką. Nie należy zapominać, że byliśmy jednym z pierwszych w świecie, którzy podjęli metodyczne prace nad ochroną historycznych układów urbanistycznych, wykraczające poza tradycyjną problematykę staromiejską, i włączyli zagadnienie konserwatorskie do miejscowego planowania przestrzennego. Wiemy, jak powinno się postępować na miejskich obszarach objętych ochroną i od strony warsztatowej mamy dużo do powiedzenia. Demonstracje realizacje w większości nie były tego potwierdzeniem. Zenujące przykłady prezentowały co prawda i inne nacje. Cóż, mogą zdarzyć się wszędzie. Ale rynek w Jaworze i śpichrze w Gdańsku, które mogły sprostać wymaganiom, to trochę za mało. Demonstrowany był projekt nowego centrum Zamościa, lecz jego realizacja nawet nie

została jeszcze rozpoczęta. Gdy patrzymy na takie obiekty, jak centralna część bloku śródmiejowego w Poznaniu czy kawiarnia na murach w Toruniu, odnosi się wrażenie niemocy w przełożeniu na język form architektury całkowicie słusznych intencji. Wydaje się, że tkwimy w etapie radowania się, gdy jakieś przedsięwzięcie inwestycyjne zechce zmieścić się w pożądanym gabarytach i liniach zabudowy. A bywało tak dotychczas, w bardzo wielu przypadkach, za sprawą wyłącznie żądań konserwatorskich.

W konsekwencji rodziło się pytanie, czy dyscyplina, harmonijne kształtowanie zabudowy na terenach już zainwestowanych powinny obowiązywać wyłącznie w granicach obszarów objętych ochroną konserwatorską? Czy jest to domena wyłącznie opieki nad historycznymi układami urbanistycznymi?

mi? Chyba jednak pytania te są już nieaktualne. Przecież seminarium kazimierskie zorganizowane zostało przez Międzynarodową Unię Architektów, a Międzynarodowa Rada Ochrony Zabytków i Miejsce Zabytkowych (ICOMOS) była tylko współpartnerem w tej imprezie. Z polskiej strony natomiast rolę gospodarza spełniał Zarząd Główny Stowarzyszenia Architektów Polskich. Oraz — co dla nas najważniejsze — w czasie, gdy odbywało się kazimierskie seminarium, w Sejmie oczekiwano już na uchwalenie projektu nowego prawa budowlanego, którego artykuł 4 głosi, że „forma architektoniczna obiektów budowlanych powinna być zharmonizowana z otoczeniem, uwzględniać walory krajobrazu i wpływać na podniesienie estetyki otoczenia”.

Mieczysław Kurzątkowski

Ładne kwiatki

Elżbieta Nowak

ZJAWIŁ się więc i zaczął męczyć. Oczywiście nie jakiś uparty On. Temat, zwykły temat. No bo pomyślcie: kwiatki. Sprawa oczywista, że są wręczane, otrzymywane, sprzedawane, czasami z ceremoniałem właściwym raczej wciśnięciu śledzia w garaż.

Drobnostka, tradycji można się przecież dopracować. Nie miejmy jednak zbyt dużych wymagań. To załedwie lubelski „murek”.

Załedwie, a jednak taki specyficznie nasz. No bo panie z parasolami pod pachą, z kwiatami, z kubkami, stolkami i co tam kto posiada, a także z rodziną do pomocy wędrujące każdego ranka pieszo, wózkami, często własnym autem, do swojego warsztatu pracy — to widok niekoniecznie tylko lubelski.

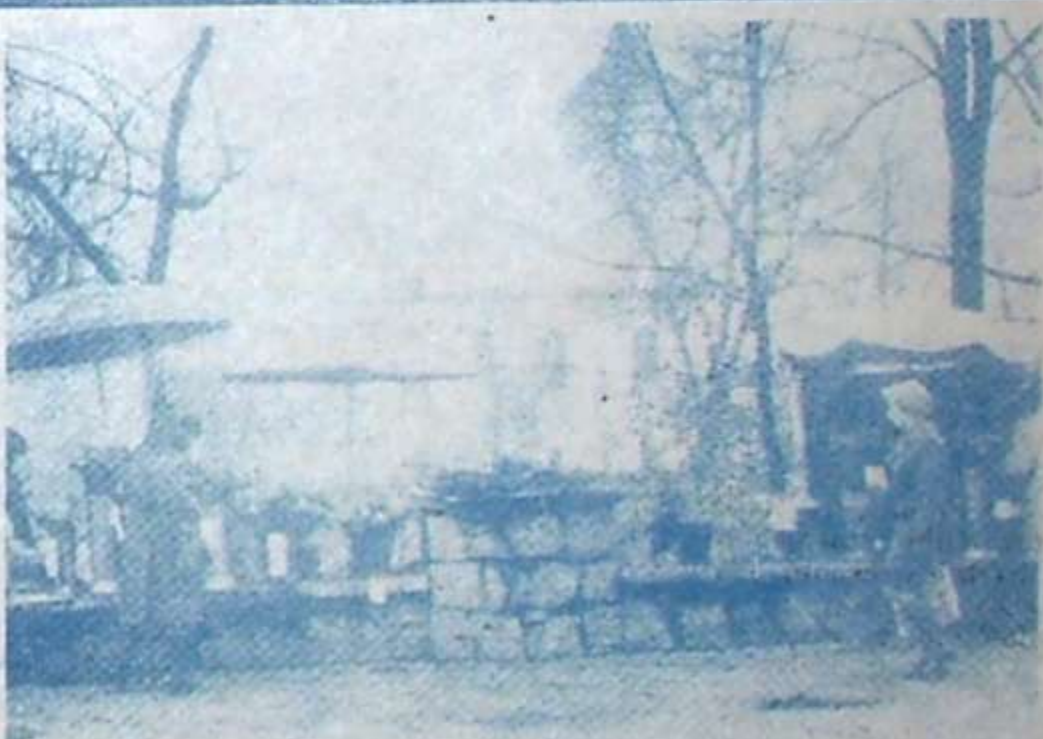
Ale ten warsztat to już jest nasz. Położony wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, między ulicą Ludwika Waryńskiego, a nowym gmachem sądu na murku, okalającym stary, niewielki cmentarzyk ewangelicki i istniejący obok skwer, jest miejscem przemysłnie wkomponowanym w układ ciągu handlowego. Wprost idealnie prowokującym każdego potencjalnego klienta natłokiem ustawionych na murku kwiatów.

Początkowo kwiatciarki działały nie bardzo legalnie, ale w ten sposób przyzwyczaiły się do miejsca, a klientów do tego, że o każdej porze, na „murku” można kupić kwiaty. Liczne próby zlikwidowania interesu speliły na niczym. Przyzwyczajenie okazało się silniejsze od wszelkich rozporządzeń. Obecnie przekupki w dalszym ciągu na „swoim” dawnym miejscu, z tą tylko różnicą, że nie sprze-

dają „na dziko”, musiały częściowo ulec, ucywilizować się, zaczęły płacić podatki na rzecz miasta w zamian za oficjalne zezwolenie na sprzedaż. Zrzeczenie Prywatnego Handlu i Usług gwarantuje od miesiąca września możliwość starania się o świadczanie rentowe dla swoich podopiecznych. Gdzie indziej znajduje się taki murek, mający tak bogatą historię? A te krwawe nieomalże wojny wtedy, gdy nowicjuszką w zawodzie przekroczyła wyznaczone jej granice? O tym jeszcze nie było. Więc są granice liczące 1,5 m powierzchni murku, których za interesowane nieustannie strzeżę. Płaca przecież za nie 1700 zł miesięcznie. Nie jest to mało. Ale z tego wynika, że interes nie musi być zły. Zarówno dla pań jak i dla miasta. Ktoś powie, że na zwykłym placu, placu o podobne wyczyny również nie trudno. Zero! Ale one i murek to jednak nie to samo. Murek ma szczególne właściwości.

Nobilituje znajdujące się tam panie do stanu sprzedawcy. Sprzedawca, to nie przekupka, choćby nawet krakowska. Tak więc stoja sobie moje panie za murkiem jak za ladą i sprzedają, prowadzą rozmowy o interesie, haftują, wieszają, szydelkują, te starsze grzejąc się na słońcu po trosze zasypiają, potem znowu sprzedają. W międzyczasie wleżą, na posturunku, jedzą, piwem, czasem kolację. Sprzedawczynie czasami stoja no kaski w blacie, ale to ich prywatna inicjatywa, komuś może się nawet wydawać, że to kwestia upodobania...

A wesołota murkowa kwiatów, męczekami, różami, goździkami, groszkami, gerberami... Te kwiaty



Fot. CAF

na tle zieleni rosnących obok ulicy drzew wyglądają bardzo ciekawie. Jednak ich oprawa budzi trochę inne refleksje. Chociaż nie każdy musi zwrócić uwagę na to, że parasole chroniące sprzedawczynie i kwiaty, z wyjątkiem może dwu, rażą swoim wyglądem. Są wypłowiałe, brudne, porozrywane i zardzewiałe.

Panie nie są zainteresowane w szybkim niszczeniu odświętnych parasoli. Ale parasol, nawet najlepszy, nie rozwiąże problemu, gdy pada deszcz. By ochronić siebie i kwiaty kwiatciarki okrywają wtedy parasole różnymi workami, szmatami i takimi dziwnymi jakis czas można oglądać na głównej ulicy Lublina. Jakież zadziwienie, tymczasowe, estetyczne i nie bardzo drogie, żeby je można było zlikwidować, gdy zajdzie ku temu potrzeba zachowujące dla tego

stoiska jego niepowtarzalny charakter murku, bardzo by się tam przydało. Ubranie przekupki czy naczynia na kwiaty — to również powinno skłonić do zastanowienia. Te spotykane niekiedy kubelka, nocniki, koszyki, konwie, czy dzbanki na pewno sprzedawanym w nich kwiatom uroku nie dodają.

Małaśka sprawa. Kwiatek. Mamy często ten ładny gest. Utrudniamy wielokrotnie tym, że w Lublinie nie ma ich za dużo. Spróbujmy w wakacje kupić coś z sensem! Ja próbowałam. Z językiem na brodzie przebiegłam całe miasto. Wszystkie panie z kiosków w tym samym miesiącu poszły sobie na urlop. Te nieliczne, które pozostały, dekorowały kioski swoją osobą lub zasuszonymi kwiatkami. Podałam się i kupiłam „na murku”.

Fot. Paweł Kobielski

Wiking poszukuje żony

Henryk
Maka

Bo nad wszystkie ziem branki,
milsze Laszki kochanki,
Wesołutkie, jak młode ko-
teczki,
Lice bielące od mleka,
z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie
gwiazdeczki.

(A. Mielkiewicz — „Trzech Budrysów”)

PRZYODZIANI w skóry brodacł Wikingowie, ukrywający głowy pod okrągłymi hełmami i potężnymi rogami wołów, zbrojni w hakowane kopie, topory, krótkie miecze, łuki i okrągłe tarcze ochronne, niejednokrotnie wyruszyli ze swych skandynawskich siedlisk do gaardów na polskie ziemie. Ich długie, lekkie, a zarazem zwinne i doskonale przygotowane do morskiej żeglugi drakkary i snekary, wyposażone w pasiaste żagle i wąskie pióra wiosel oraz wysokie ste wy z wyrzeźbionymi głowami smoków i monstrualnych węzłów morskich bywały nieraz gościem Wolina, Kołobrzegu i Gdańska już przed tysiącem lat. Odrą i Wartą docierały czasem aż do Poznania. Bez względu jednak na to, czy przybywali tu w charakterze kupców czy rozbójników, zawsze interesowali się Wikingowie białogłowami, które na południowym brzegu Longum Mare wyróżniały się tak urodą, jak bystrością umysłu i opiekuńczą troską o domowe ognisko. Chętnie więc wywozili stąd żony, branki, niewolnice.

Największą spośród nich karierę zrobiła w owym czasie piękna Świętosława, córka Mieszka I i siostra Bolesława Chrobrego. Około 987 roku wyszła ona za mąż za króla szwedzkiego Eryka Zwycięskiego. Po jego śmierci zerwała zaręczyny z królem norweskim Olafem Tryggvassonem, by ostatecznie zostać żoną duńskiego Svena Widłobrodęgo. Miedzianowłosa Piaśtówna zasłynęła następnie jako Sygryda-Stor-rada, matka Kanuta Wielkiego, późniejszego króla Danii i podbitej przez niego Anglii. Do dziś jeszcze śpiewa się w Skandynawii sagi o zielonookiej Polce, której skronie przywodziły tyle koron.

Uroda polskich dziewcząt ma więc w Skandynawii historyczną renomę. To dobre zdanie o nich pozostało po dzień dzisiejszy. Ale współczesny Wiking nie musi przybywać do Polski w charakterze rozbójnika, porywającego za morze nadobną Laszkę. Wystarczy, aby miał skandynawski paszport w kieszeni, samochód i kolorowe ciuszki w bagażniku. Wtedy najpewniej trafi do serc polskich dziewcząt, które chętnie go-dzą się wyjechać na obczyznę...

A potem?

VIOLETTA

Najpierw musiała wpłacić 400 zł pośrednikowi jednego ze szwedzkich biur matrymonialnych w Szczecinie (istniała i taka instytucja!) potem pośrednik zaaranżował spotkanie w orbisowskiej kawiarni. Przedstawiony osobnik nie podobał się jej, był brzydki, prostacki. Ale był Szwedem. Zaprosiła go do siebie. Nazajutrz uważała się za narzeczoną. Szaleli przez kilka dni. Stieg R. szastał polskimi pieniędzmi, kupował jej różne drobiazgi. Była w siódmym niebie, gdy zaprosił ją do Szwecji.

Pojechała. Czekal na nią w Ystad z przyjaciółmi, do którego należał elegancki samochód, jakim rozbijał się po Szczecinie. Wywioził ją daleko na północ, gdzie pracował w charakterze drwala. Poznał z ojcem, właścicielem mizernego gospodarstwa. Przez dwa tygodnie gotowała mężczyznom posiłki. Zaledwie dwa razy autobusem pojechała ze Stiegiem do pobliskiego miasteczka. Ani razu nie mogła go namówić na „ubaw”. Stieg liczył się z kieżym óre, z krężną koroną. Odmawiał jej nawet pójścia do kawiarni. Nic nie wyszło ze zwiedzania Sztokholmu, po

którym tak wiele sobie obiecywała. Sam zresztą we własnej stolicy jeszcze nie był. Gdy zaczął ją podejrzewać o drobne oszustwa przy okazji sklepowych zakupów — miała tego dość. Zdecydowała się wrócić do kraju.

„Kiedy po ucieczce z tego leśnego odludzia znalazłam się na powrót na pokładzie promu „Gryf”, płakałam ze szczęścia — opowiada — Polska mowa, polscy ludzie, polski sposób myślenia. Nie, nie chcę być niewolnicą w najbogatym kraju...”

IRENA

To była miłość od pierwszego wejrzenia. Ona była ładna i zgrabna, właśnie kończyła medycynę. On, człowiek już nie najmłodszy, był dyrektorem poważnego przedsiębiorstwa. To wystarczyło, zwłaszcza że miał „Saabę” i wypchany portfel. Dni, które jej poświęcał, były cudowne. Mieszkali w najlepszych hotelach Poznania, Krakowa, Zakopanego i Warszawy. Chodzili do najdroższych lokali, pili szampana i koniaki. No i kochali się, bardzo się kochali.

Koleżankom — studentkom z akademika bielały oczy. Szczególnie na widok ciuchów, które jej przywoził.

— Ta to ma szczęście — mówiły o Irenie W. — Ona robi karierę...

Gdy wkrótce oświadczyła im, że zaraz po dyplomie wyjeżdża do Szwecji, gdzie weźmie ze swym ukochanym ślub, oniemieli z wrażenia. Rzeczywiście. Niedługo potem świeżo upieczona „pani doktor” otrzymała paszport i zilkwi-dowawszy swe sprawy w kraju znalazła się po drugiej stronie Bałtyku.

Szwedzka rzeczywistość uderzyła ją, jak obuchem. Przede wszystkim okazało się, że jej ukochany, inż. Erik N., tak w Polsce wesoły, głośny i towarzyski, dysponujący wielkopolskim gestem, tu okazał się zupełnie inny. Zamiast we własnej willi ulokował ją w taniutkim pensjonacie. Rzadko się z nią widywał, na ulicy nie pojawiali się razem w ogóle. Gdy dociekliwie sprawdziła przyczyny okazało się, że jest on żonaty i dzieciaty.

— To ty mówiłaś ciągle o ślubie — odpowiedział arogancko na jej wymówki. — Ja nigdy takiego zamiaru nie miałem, choć nie przeszkadzałem ci snuć marzeń. Rozumiesz chyba, że jako dyrektor muszę dbać o swoją reputację i nie mogą się tutaj z tobą afiszować. Musisz wrócić do Polski. Będę cię odwiedzał jak dawniej...

I tak rozsypał się domek z kart. Zdesperowana do najwyższych granic Irena W. sięgnęła do przywiezionego z sobą pudelka z pigułkami. Wybrała te najskuteczniejsze.

MARIA

Svena W. poznała w szczecińskiej „Palomii”. Był młodym wysokim blondynem o niebieskich oczach. W jej typie. Dużo tańczył tej nocy, dobrze się bawili następnego dnia. Gdy przyjechał miesiąc później — wzięli ślub. Po tygodniowym pobycie u rodziców, w pow. pyrzyckim, wyjechali do Göteborga.

Przez pierwszy miesiąc była oszłomiona. Nowe miasto, nowa rodzina, nowe sytuacje. Potem przyszły dni trudniejsze. Wystawy kusyły, chciała mieć długie botki, kolorowe bluzeczki, szalowe peruki, elastyczne spodnie. Chciała mieć nowe mieszkanie. Młody żonko — robotnik jednej z firm spedycyjnych w porcie — nie mógł sobie pozwolić na wszystkie jej zachcianki. Dochodziło na tym tle do scysji. Za radą męża postanowiła iść do pracy. Tylko gdzie? Szwecja to wprowadziła kraj bogaty, ale ma swoich bezrobotnych, przeżywa okres gospodarczej stagnacji. Dziewczyna z polskim ogół-

niakdem nie ma tu na co liczyć. Nieznajomość języka to dodatkowa bariera na drodze do zatrudnienia.

Wreszcie dostała dorywczą pracę w ogrodnictwie. Pełniła grządki w inspektach. Ręce, nie przywykłe jeszcze do żadnej pracy, poczerwieniały, palce zrogowaciały, wieczorem nie mogła wyprostować pleców. Po dwóch tygodniach rzuciła swoje zajęcie. Klepiąc biedę pisała do przyjaciółek radosne listy o „książkowej” karierze, którą tu zrobiła.

— A co mam pisać — pyta zaczętnie, gdy rozmowa schodzi na moralną stronę zagadnienia. — Że zastanawiam się co do garnka włożyć, albo że tu mogę być zaledwie sprzątaczką w biurze, pomywaczką w restauracji, pomocą w szpitalu, gosposią domową? Kto u nas w to uwierzy? Zresztą po co mam się do tego przyznawać? Na odwrót — wysyłam kolorowe zdjęcia i pocztówki, zapowiadam, że na przyszłe lato jadę na Majorkę! Niech wiedzą, że zrobiłam karierę...

JOANNA I INNE

Joanna C. przyjechała do Sztokholmu jako naręczona Sigurda E. — byznesmena bliżej nie określonej branży. Skończyła właśnie psychologię na jednej z lódzkich uczelni, miała nadzieję podjąć pracę pod opiekunictwem skrzydłami męża. Sigurd E. okazał się dżentelmenem. Wprowadził ją do wynajętego specjalnie małego mieszkanka, zapisał na kurs języka szwedzkiego, dawał pieniądze, regularnie nawiedzał. Naciskany wyjaśnił wkrótce, że ślubu wzięł jednak nie może, gdyż jest „żonaty”, choć nieszczęśliwy w małżeństwie. Więc niech poczeka na rozwód.

Czekała.

Po trzech miesiącach miała dość. Zaczęła rozglądać się za pracą. Próbowwała ze trzy razy. W rezultacie wyładowała jako stripteaserka w nocnym lokalu, którego współwłaścicielem okazał się jej „naręczony”. Dziś, po czterech latach pobytu w zabałtyckim królestwie, jest ciągle naręczoną. Tylko, że z dzieckiem. Za to w stripteasie jest mistrzynią. Ciało ma ciągle pęknęte.

Jeszcze gorzej wyładowała jedna z mieszanek Wielkopolski. Od dwu lat jest „gwiazdą” wśród modelek Göteborga, pozujących w najprzeróżniejszych

sytuacjach do pism i wydawnictw pornograficznych. Inna z kolei w poszukiwaniu intratnego zajęcia trafiła z Malmö do pobliskiej Kopenhagi, gdzie zakotwiczyła na stałe w jednym z barów marynarskiej dzielnicy Nyhavn.

CENA NAIWNOŚCI

W czasie swej ostatniej podróży po Szwecji spotkałem się z wieloma podobnymi historiami. Opowiadali mi je: konsul PRL w Malmö i jego współpracownicy, żona wicedyrektora przedsiębiorstwa „Terminal Syd AB” w Ystad, mieszkający stale w Szwecji rodak z Göteborga, przedstawiciel Polonii z Hälsingborga i Sztokholmu, kapitanowie promów łączących Szwecję z Polską. Każdy sypał przykładami świadczącymi o naiwności dziewcząt, które nie zdając sobie sprawy, że polsko-szwedzkie małżeństwa rzadko są szczęśliwe, a stądla naprawdę udane można policzyć na palcach.

Nie znaczy to oczywiście, że wszystkie dziewczęta, wyjeżdżające na drugą stronę Bałtyku, skazane są na niepowodzenie. Na pewno nie. Duża ilość takich przypadków świadczy jednak, że kult obcokrajowca, mężowskiego domu wytapetowanego dolarami, miraż super-samochodu i super-willi z tabunem służących, zbiera wciąż obfite żniwo. Co gorsza, liczba polskich dziewcząt, które — nie znając języka ani realiów codziennego życia w Szwecji, Danii czy Norwegii — lekkomyślnie decydują się wyjechać do swego współczesnego Wikinga, ciągle rośnie. Odurzone nadzieją zrobienia olśniewającej kariery, bez większego zastanowienia rzucają naukę i pracę, rezygnując z określonej w Polsce przyszłości, jadą w nieznane.

Surowa, trudna rzeczywistość zabałtyckiego królestwa, gdzie można zostać najwyższymi obywatelami drugiej kategorii, na ogół rzezczarowuje, doprowadza do apatii, nerwowego rozstroju, nieraz do tragedii. A to jest zbyt wysoka cena za naiwność i lekkomyślność. Stanowczo zbyt wysoka!



Armia Zbawienia na ulicach Sztokholmu

Fot. M. Drużecz

PALAC sieniawski książąt Czartoryskich kryty blachą, ujęty z dwóch stron w piętrowe narożniki, nie posiadał żadnych wież czy baszt zamkowych. Oprócz ogromnej sieni, gdzie stały organy, był tam duży salon zajmujący sam środek gmachu, ozdobiony cennymi karykaturami angielskimi i mnóstwem sztychów. W kilku pałacowych wysokich komnatach o oknach sięgających niemal ziemi mieszkali księżta. Wszyscy zaś domownicy — dzieci, rezydenci i służba, a także goście, których tu nigdy nie brakło, zajmowali niewygodne i

nie tylko oni) jego właśnie predestynowali na wodza przyszłej walki.

W salonach plotkarskiej Warszawy szeptało nawet tu i ówdzie, że księżna Izabela pragnie wydać swoją rozwiedzioną córkę Marię za Tadeusza Kościuszkę. Były to jednak tylko plotki. Niemniej księżstwo oboje cenili w tym „szlachetce” jego niezwykły patriotyzm, skromność, odwagę i kryształową uczciwość tak niezwykłą w tych sprzedajnych czasach. Wierzyli również w jego wiedzę wojskową, którą nabył w bojach o wolność Ameryki.

zepsuty! I nawet przyjazd księcia Adama nie tu nie zmienił.

Właśnie ten swój ostatni pobyt w Międzybożu wspominał teraz książę generał, przez delikatność pomijając jednak sprawę Tekluni.

Międzybóż, leżący przy ujściu Bożka do Bohu, był administracyjną „stolicą” rozległych dóbr książąt Czartoryskich leżących na Podolu. Niedaleko od Międzyboża, w Hołoszkowie, znajdowało się słynne w Europie stado księcia Adama, sładające się z tysiąca klaczy i stu pięćdziesięciu ogierów polskich, arabskich, hiszpańskich i angielskich.

pracował w Korpusie, a żaden nie dorobił się majątku, ani nawet nie zabezpieczył sobie starości. Załował swego wkładu w tę szkołę, której był niegdyś komendantem. To on przecież skompletował jej ciału profesorskie; on urządził bibliotekę; wzbogacił gabinet astronomiczny i zainicjował opracowanie podręczników. On wreszcie napisał na użytek Korpusu „Katechizm Kadetów”, a także „Definicje różne przez pytania i odpowiedzi”.

Zaszczerpnął swoim elewom miłość ojczyzny, zwalczał przesady, obskurantyzm i nietolerancję, które wynosiły z gniazd szlacheckich; chciał, by wychowankowie Korpusu odmienną starą postać kraju swego i chyba wiele udało mu się osiągnąć. Z elewów tej właśnie Szkoły Rycerskiej rekrutowali się ci, którzy chwycili za broń, by walczyć w obronie Konstytucji 3 Maja — Kniaziewicz, Niemcewicz, Sokolnicki, Fiszer i tyłu, tyłu innych, a przede wszystkim Tadeusz Kościuszką, najlepszy z najlepszych.

Szczególnie owacyjnie obchodzono w Sieniawie imieniny Kościuszki przypadające na dzień 28 października. Maria Wirtemberska i piękna Zosia podały mu wieniec spleciony z liści dębów sadzonych jeszcze ręką króla Jana III w Wysocku. Do oblady wszystkie damy włożyły białe toalety. Spiewano też pieśni ułożone na cześć solenizanta, a księżna Wirtemberska narysowała sylwetkę Kościuszki, którą podpisała: Tadeusz Kościuszką, dobry a waleczny, lecz nieszczęśliwy.

Wkrótce po tej uroczystości księżna Izabela z córkami odwiedziła Kościuszkę do Lwowa.

Pojechaliśmy najpierw do Lwowa notowała Zofia — a Kościuszką z nami w jednym pojeździe. Wszędzie chciano go widzieć, zbliżyć się do niego. We Lwowie czyniono mu owacje.

KOŚCIUSZKO W SIENIAWIE

Gabriela Pauszer-Klonowska



że umeblowane pawilony drewniane, stanowiące dwa boki dużego dziedzińca okolonego żelazną kratą.

W parku położonym za pałacem ciągnęły się „długie aleje lip, które potrzebowały stu lat przynajmniej, aby do takich wyrósł rozmiarów; olbrzymie toполе nadwiślańskie sadzone w półkola i elipsy, jesiony, modrzewie i świerki, a nierzadko dęby, dominując nad rzeczpospolitą liściastych i iglastych drzew”.

Samo miasteczko dotykające niemal parku było stare, z podcieniami. Dzisiaj zostało z tamtych dalekich lat bardzo niewiele: mały domek ufundowany przez księżstwo dla zakonnic, w którym mieści się teraz biblioteka, dom dla mieszczan i piękny kościół, gdzie spoczęły i spoczywają po dziś dzień zwłoki wszystkich niemal członków rodziny Czartoryskich.

Sieniawa była rezydencją o wiele skromniejszą od Puław, ale książę Adam Kazimierz Czartoryski czuł się tu świetnie.

— Gdy z Puław przenoszę się do Sieniawy, to doznaję takiego uczucia, jak kiedy po haftowanym fraku z żabotami wdziwiał się wygodny szlafrok — wyznał raz Niemcewiczowi.

Było i tu sporo służby i milicji nadwornej, ale wszystko było skromniejsze i prostsze niż w Puławach. Opowiadano, że kiedyś pewien porucznik — gołowąs z tej nadwornej milicji — zwrócił się do księcia z prośbą o awans. Książę przyjrzał mu się z powagą i z powagą oświadczył:

— Dobrze. Będziesz walczył kapitanem, tylko pilnuj jednego: niech mi tu świnie nie ryją na dziedzińcu.

Do Sieniawy w ślad za księciem przyjechał Tadeusz Kościuszką. Powitanie księcia z jego wychowankiem opisał zwięźle przyjaciel księstwa, poeta Szymanowski w swojej korespondencji:

Zdawało mi się, że widział syna, który z wdzięcznością odnosi ojcu sławę za jego dla siebie starania. Obydwaj się do Izów uściskali. Każdą go (tj. Kościuszkę) potem sobie wydzielal i każdy go uściskał serdecznie.

W innym liście znów pisał:

Kościuszką widziany tu jest od wszystkich z ukontentowaniem. Jeden przed drugim oddaje hold winny cności i męstwu.

A Kościuszką, niepozorny, niewielkiego wzrostu, o grubych rysach i zadartym nosie, ubrany w szary stary surdut wyglądem swym nie odpowiadał wcale wyobrażeniu o „bohaterze dwóch światów”, jak go nazywano w Puławach. Nie błyszczał też, tak cenionymi na puławskim dworze, wymową i dowcipem. A jednak księżstwo Czartoryscy (i oczywiście

Przepadała za Kościuszką sieniawska młodzież, z którą bawił się wesoło w „cenzurowane” i „mrućka”.

Najmłodsza córka księżnej Izabeli, Zosia, wspominała potem ten sieniawski pobyt Kościuszki: Bawił się codziennie z nami, wymyślał różne gry, śmiał się serdecznie, droczył się ze mną, a ja czułam się dumna z jego przyjaźni...

Starsze towarzystwo lubiło spędzać z nim wieczory na rozmowach i wspominkach.

Mówiono o Targowicy i królu, oburzano się na jego bratanka, Stanisława Poniatowskiego, który w obawie o swoje włości przysłał aż z Rzymu akces do konfederacji. Tekst tego akcesu brzmiał:

Gdy dla nieprzytomności mojej w kraju nie mogę uczynić w aktach urzędowych krajowych akcesu do konfederacji generalnej kor. związanej w Targowicy pod laską jw ję Szczęsnego Potockiego gen. artylerii kor., przeto pismem niniejszym to dopełniając przystępuję do tejże konfederacji i na to mój akces przy wyściśnięciu pieczęci rodowej własną ręką podpisuję. Dan w Rzymie dnia 17.X.1792.

Stanisław książę Poniatowski. Księżna Izabela wołała jednak wspominać dawne czasy. Chętnie bawiła siebie i innych opowieściami o tym, jak to pan Tadeusz kochał się w Ludwice Sosnowskiej, a jej ojciec, wojewoda smoleński i hetman polny litewski, oświadczył wszem wobec, że synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków.

Dawny elew Szkoły Rycerskiej, a potem jej brygadier, chciał wówczas wykraść ukochaną, ale wojewoda, uprzedzony ponoć przez króla, oskarżył go o rzekomą chęć gwałtu i pragnął zemścić się srodze. Niefortunny amant ukrył się wtedy w tej samej Sieniawie. Potem zaopatrzoną należycie przez księcia Adama, za paszportem wiedeńskim, który mu wyrobiła księżna, wyjechał do Filadelfii.

Książę Adam przypomniał sobie znowu Międzybóż, gdzie stacjonował Kościuszką ze swoim wojskiem, gdy go Sejm Czteroletni powołał do służby. Tam zakochał się w śledemnatoletniej Tekluni Żurowskiej, córce chorążego, który również nie chciał mu oddać swojej jedynaczki. Nie imponował chorążemu ani stopień generała otrzymany w Ameryce, ani order Cyncynata z napisem: Omnia reliquit servare rem publicam (wszystko porzuciłem dla sprawy publicznej). Pan chorąży nie chciał wydać córki za człowieka starszego od niej bez mała o ćwierć wieku i meł w ustach epitetu w rodzaju: Hołysz, włóczęga, balamut, starzec

Książę przy okazji odwiedził tę stadninę. Ale wspominał teraz raczej Międzybóż i to, że niegdyś młodzi książęta, Adaś i Kostula, zbudowali tam fortecę z piasku, która rozsypała się tak, jak rozsypała się wniecz przez przekłętą pychę i pry-



Pałac Czartoryskich w Sieniawie. Wygląd obecny.

Fot. S. Klonowski

watę targowiczian całą pracą Sejmu Czteroletniego i wysilek najlepszych w kraju ludzi, i ten ciepły wrześnieowy wieczór, kiedy książę przyjechał do Międzyboża, a Kościuszką wyjechał mu naprzeciw na czele swojego wojska.

Żołnierze śpiewali:

Dajże nam Boże doczekać tej pory,
By do ataku nachylić propory,
By szwadronami kazano nacierać,
Milo nam takie rozkazy odbierać.
Dajże Boże tylko zdrowie,
Będziem hulać!

Tak wtedy śpiewali...

A tymczasem... Tymczasem król wydał rozkaz rozwiązania Korpusu Kadetów, co boleśnie dotknęło księcia Adama.

Przymuszony się widzę acz z najtkliwszym żalem moim — pisał król — dać niniejszy ordynans hrabiemu Ignacemu Wodziańskiemu... komendę w Korpusie obecnie mającego, aby wszystkim rodzicom kadetów oznajmił, iż od pierwszego grudnia roku teraźniejszego synów swoich z Korpusu odebrać mają.

Król własnymi rękami burzył dzieło, którego był twórcą. Książę Adam nie żałował wcale swojego nieszczęsnego kuzyna. Żałował ludzi, z których niejedną po trzydziści lat

Izabela z córką Marią użyły całego swego wpływu, aby tamtejszy gubernator ułatwił mu wyjazd za granicę — wróci kiedy kraj będzie gotów, by porwać za broń przeciw zaborcom.

Wydaje się znamienne — pisze w jednej ze swoich prac prof. Łojek — że wkrótce po gościnie Kościuszki u Czartoryskich zaczyna się propaganda ogólnokrajowa zmierzająca do wyłansowania generała na przyszłego wodza powstania. Czartoryscy byli zresztą jedyną rodziną arystokratyczną, która miała dostateczne środki, stosunki i chęci, aby sylwetki i kopiersztychy (Kościuszki) w tysiącach egzemplarzy za granicą zamawiać i po kraju dystrybuować.

Nie bez słuszności więc, choć z przesadą, twierdziła później Katarzyna II, że plan insurekcji ukuła księżna Czartoryska w Sieniawie i Lipsku.

Fragment powieści: „Pani na Puławach”

Reguła jest zawsze taka: im gorzej, bardziej nieudolny stosunek rodziny do starego człowieka, tym ostrzejsza, gwałtowniejsza i bardziej wredna jest reakcja na krytykę. Tak jest w przypadku rodziny Stanisława K. z Olbici. W reportażu wprawdzie użyłem kryptonimu nazwiska, pisząc o losach „Stanisława K.”, lecz rodzina ujawniła pełne brzmienie nazwiska, co i mnie zaważyło z anonimowości adresu.

No cóż, wiem, że obie rozważane kobiety — córka i matka złożyły huraganowe wizyty zarówno w „Kamieniu”, jak i Wydawnictwie, które przygotowuje

tom moich reportażów o losach starych ludzi na wsi. Gdyby brał serio takie reakcje negatywnych bohaterów, to na dobrą sprawę społeczeństwo ani razu nie dowiedziałoby się o barbarzyństwie rodzin w stosunku do starych.

W memoriale opublikowanym w „Kamieniu” przeżył wszystkich, bicia, głodówce, wyziskom. By-

łem, rozmawiałem z ludźmi. Mam świadków, że Stanisław K. wyładował sędziom świątynie zarcie. Mam świadków, że jest bity i popychany, jak również to, że po mojej wizycie został poturbowany. A co do stosunku żony i córki, niech nam wystarczy fakt, że w obecności czworga obcych ludzi, dziennikarza, opiekuna społecznego, se-

kretarza miejscowej POP i przedstawiciela jeszcze jednej powiatowej instytucji, żona Stanisława K. niemal w każdym zdaniu skierowanym do swojego męża, z którym przeżyła pół wieku umieszczała wdzięczną apostrofę: „ty skurwysynu!” To wdzięczne słowo przytaczam w pełnym brzmieniu, bez trzykropka bo i czego tu się

wstydzę. Przy tak ciepłymi atmosferze domu trudno się dziwić, że mąż (podobno pijak) odszedł od córki, a żona od wnuczka.

Opisałem w swojej dotychczasowej pracy dziennikarskiej dziesiątki podobnych spraw. Groźono mi sądem, pobiciem, oskarżano o prywatę. Pisząc o losach Stanisława K., wcale nie oczekiwałem od jego rodziny bukietu cudnych róż. Bo dziennikarstwo to właśnie taki chleb, na którym raz po raz chlebiec sobie żąb wyszczerbi.

Henryk Pajak

„Kamena” (nr 22 z 1.XI.74) zamieściła tekst Mariana Kosa pt. „Kto właściwie ryje?”. Prostu — jedynie w punktach — nieprawdopodobieństwa autora.

1. Mój artykuł ukazał się w „Kamieniu” nr 11 z 2.VI.74 r. Tytuł brzmiał: „Sukces Chóru UMCS w Belgii” (z podtytułem „Z notatnika dyrygenta”). Autor zmienił po prostu tytuł mojego tekstu tak, jakby to on go napisał, autorzytatywnie dopisując również intencje (czytaj: moje), których brak w tekście. Zastanawiające jest nie podanie numeru „Kamienia” z wyżej wymienionym artykułem.

2. Dokładne informacje o festiwalu w Neerpelt (organizatorzy, adres etc) otrzymałem dzięki uprzejmości p. prof. Zbigniewa Sołt (chórmiestra członka Rady Artystycznej Zarządu Głównego ZESP, mojego profesora dyrygentury chóralnej). W Warszawie jesienią 1973 roku. W rozmowie uczestniczył również obecny prezes

Chóru, notując informacje oraz adres.

3. Tekst Marka Kusiby jest felietonem („Polski kot na belgijskim rynku” — „Student” nr 15 z sierpnia 70), a nie wywiadem ze mną i moją żoną. Nie chciałbym sugerować, że autor nie rozróżnia obu form. Moja jedyna wypowiedź (podkreślona zresztą kursywą) dotyczy uciążliwej podróży do Neerpelt, zaś wypowiedź mojej żony — spotkania Chóru z Mieczysławem Foggiem na przejeździe granicznym. Również w tym przypadku autor dopisuje intencje (czytaj: moje) których brak w tekście artykułu, nawet nie podpisanego moim nazwiskiem. Nawiasem mó-

więc wyrywkowe cytowanie — bez konieczności — jest ograniczonym chwytym. Dlaczego brak takich cytowań jak np. „Najpiękniejsze dni w życiu wielu z tych 42 młodych ludzi”. Zresztą nawet to, co autor cytując przyjmuje za dobrą monetę (uwaga: jako kontrargument w fachowej ocenie „Kotki”) M. Kusiba i oczywiście każdy krytyk ostentacyjnie wykpiwa. Dlatego słowo „wyrobiona” dotyczące publiczności jest wzięte tu w cudzysłów. Dotyczy bowiem pewnej części publicznej kultury koncertowej, dla której cała muzyka współczesna jest niestrawna. Stąd mowa o prawdopodobieństwie estetycznej rewolucji zo-

ludków takiej „wyrobionej” publiczności po wykonaniu „Kotki”.

4. Pracę w Chórze UMCS rozpocząłem 13.X.1972 roku. Dopiero więc w tym roku upłynęły owe dwa lata „jałowej” działalności Chóru UMCS, jak wynika ze sformułowania autora, nawet na terenie Lublina (a więc sukces w Neerpelt dokonał się w czasie tej „jałowej” działalności).

5. Dlaczego wyniki nieporozumienia dotyczące spraw kierownictwa Chóru UMCS? Autor wyjaśnia to brakiem konkretnego stanowiska ze strony władz uczelni. Ja natomiast walczyłem o atmosferę, dyscyplinę pracy w Chórze UMCS, pozostając w tym

„Kto właściwie ryje?”

Po lekturze wypowiedzi polemicznej M. Kosa („Kto właściwie ryje?” „Kamena” z 3.XI) ograniczę się do kilku uwag. Autor polemiki wywołał na światło dzienne chówne brudy chyba dlatego, że jak pisze, zależało mu na dobrej sławie Chóru UMCS. Przy okazji pan Kos wpłatał się we własną pułapkę nie logiczności, którą zastawił na mój tekst „Polski kot na belgijskim rynku” („Student”, sierpień 1974 r), przekraczając cytaty, naginając fakty, wprowadzając w błąd czytelnika i władze uczelni, podając plotki, rzucając oszczerstwa. Dziwi mnie to niepomniernie, że odważył się pod tym bałaganem podpisać.

Dla p. Kosa działalność artystyczna chóru sprowadza się do

prostej sprawy. Chórzyści „poświęcają wiele osobistego czasu dla najlepszego opanowania sztuki śpiewaczej, wykonania i interpretacji utworów kompozytorów różnych epok, w sposób budzący podziw”. Dzieje się tak dlatego, że obecnie kieruje chórem znana p. Kosa. Byli kierownik nie liczy się, bo „przed dwoma laty chór pod jego kierownictwem nie liczył się na artystycznym rynku nawet w Lublinie”. Pan Kos rozumie bardzo prosto.

Przed wyjazdem byli dyrygent źle pracowali, a więc chór wspiął się na wyżyny śpiewaczego kunsztu.

Zastanawiam się, dlaczego o sprawach studentów piszą u nas ludzie, którzy nie tylko nie wiedzą, co dzieje się w środowisku, ale wiedzają źle. Zastanawiam się, czy pan Kos rozumie, co kryje się za takim np. zdaniem: „Z indywidualnymi wyjazdami też nie jest tak źle, o czym autor może się przekonać śledząc działalność „Orbi-

su”, „Juventuru” i „Almaturu”. Po pierwsze za tym zdaniem kryje się pewna nieporadność dziennikarza, który daje tu oczywisty dowód na to, że nie a nie z mojego tekstu nie wyrozumował. Nie napisałem ani słowa krytyki pod adresem indywidualnych wyjazdów. Ośmieliłem co najwyżej, jak to w felietonie bywa, studentów — narzekaczy, którzy podobno nigdzie nie wyjeżdżają i mają za złe tzw. artystom „Ludzie kręcają nosami. Wyrażnie im się

to nie podoba. Sami nigdzie nie wyjeżdżają, ryją jak dzikie świnie cały rok, a tamci przychodzą tylko po podpisy. Artysty.” Już samo stwierdzenie „ryją jak dzikie świnie cały rok” powinno było p. Kosowi pomóc. Niestety. Po drugie autor udaje, że nie wie o stanie faktycznym indywidualnych eskapad studenckich. Przecież po przeczytaniu jego wypowiedzi nikt nie uwierzy cytowanemu banałowi. Podejrzewam, że z jednej rzeczy w tym wszystkim p. Kos zdaje sobie jednak sprawę: że nie o chór mu idzie, a o co innego. O co — nie napiszę, bo i tak się wyprze.

Marek Kusiba

oko-lice-sztuki

Plastycy z Debreczyna

PODSTARZAŁY slogan głosi, że sztuka łączy narody, sprzyja porozumieniu. W naszych czasach stracił on przecież swój sens jednoznaczny. Chociażby dlatego, że nie bardzo wiadomo, gdzie przebiegają granice sztuki, jak wygląda jej obszar suwerenny, jakie są jego wyznaczniki. Wiele twierdzi, że twórczość artystyczna jest w dalszym ciągu specyficzną postacią refleksji nad życiem, nad człowiekiem i społeczną jego sytuacją, inni utożsamiają sztukę z owym życiem, z samą postawą artysty, negując po drodze celowość wykonywania dzieł-komunikatów podlegających kryteriom estetycznym. Stąd właśnie ogromne zamieszanie wśród samych artystów, które udziela się publiczności, ale rzadko. Na ogół omija ona tereny

zapasów, znużona hasłami rewolucji permanentnej, czy też nawoływaniem o powrót do źródeł, powiedzmy — do sprawdzonych form ekspresji artystycznej. Można zatem powiedzieć, że współczesna sztuka sprzyja przede wszystkim dyskusjom, kontrowersjom, które miejscami daleko wykraczają poza sprawy samej twórczości, obejmując kwestie moralności, polityki i ideologii, roli artysty i celu jego działania, czyli zagadnienia złożone, głęboko różnicujące zbiorowości ludzkie. Ale uczestnictwo w tej dyskusji jest przecież wyrazem aktywnego stosunku do świata, jest aktem wiary w powszechne porozumienie, które kiedyś musi nastąpić. Wiele może sztuka nie tyle łączy dziś narody, co skłania ich uwagę w kierunku człowieka statusu, jego elementarnych problemów?

W 1971 roku w węgierskim Debreczynie po raz pierwszy pokazano malarstwo kilku artystów lubelskich. Była to rzeczywiście wartościowa wystawa, urządzona w ramach długoletniej już współpracy obu miast „bliźniaczych”. Uroczystość otwarta — bratankowie dbają o te sprawy wprost przykładnie — wzbudziła nieklamane zainteresowanie publiczności, co przyniosło naszym artystom sporo satysfakcji. Najważniejsze jednak, śmiem przypuszczać, okazały się późniejsze i całkiem prywatne rozmowy z malarzami Debreczyna, toczące w różnych porach dnia i nocy w pracowniach węgierskich przyjaciół. Rozmawiano układnie. Dyskutowano ostro. O wszystkim, o sztuce także, o życiu, o rodzajach farb, o konceptualizmie, o śmierci i nieprzemijalności prostokątnego obrazu. A rezultat tych spotkań okazał się zwycięstwem, najlepszy z możliwych: zawiązały się osobiste sympatie, znajomości, zaplanowano wzajemne odwiedziny. Potem Węgrzy pojawili się z własną wystawą w Lublinie, zaczęli uczestniczyć w plenerach kazińskich, a Polacy składali re-wizyty. W tym roku Andrzej Koto-dziełek otrzymał pierwszą, a Jan

Poppek drugą nagrodę międzynarodowego pleneru malarstwa, który odbywał się latem w pobliżu Debreczyna. Zaraz potem w stolicy województwa Hajdu-Bihar otwarto wystawę grafiki Zofii Kopel-Szule oraz malarstwa Ryszarda Lisa i Jana Popka, którą gospodarze zaopatrzyli w bardzo piękny pod względem typograficznym i znakomity technicznie katalog. Ekspozycja okazała się wydarzeniem artystycznym sezonu, a serdeczność, z jaką podejmowano naszych artystów, przekroczyła najśmielsze oczekiwania.

Obecnie gości w Lublinie kolejną wystawę artystów debreczyńskich, urządzoną w BWA w

rację aluzyjną, metaforyczną, „Dwoje ludzi” znanego w Lublinie Topora Andrasa to obraz dramatyczny w wyrazie (choć zdyscyplinowany formalnie), brutalnie interpretujący postać ludzką, manifestującą swoją obecność zespołem ledwo czytelnych znaków. Proceder „redukowania człowieka” obserwujemy zresztą w twórczości innych artystów debreczyńskich, przykładem niech będzie „Zjednoczenie” Varo Martona, interesującego skądinąd rzeźbiarza, o którego możliwościach niewiele przecież mówi skromny model pomnika(?) pt. „Memoria II”.

Trzy obrazy Bodo Karoly należą niewątpliwie do najlepszych prac wystawy. Ich zewnętrzna postać skłania do wspomnień o abstrakcji geometrycznej, ostatecznie jednak, po głębszym wnikiwaniu w strukturę czerwonych kompozycji, okazują się to być dzieła znacznie bogatsze i indywidualne — chyba za sprawą precyzyjnie rozłożonego światła, które otwiera w powierzchniach „przestrzeń metafizyczną”. W przyszłym roku będzie zresztą okazją do weryfikacji tych felietonowych obserwacji, albowiem artysta pojawi się w Lublinie z dużą wystawą swych prac malarskich.

Odrębne miejsce w ekspozycji zajmuje twórczość Hollo Laszlo, klasyczna sztuka debreczyńska, którego obrazy spotkać można w tamtejszym muzeum. Są to malownicze i ekspresyjne pejzaże, portrety i martwe natury, można powiedzieć, że jest to malarska afirmacja świata.

W twórczości malarzy debreczyńskich zdaje się jednak dominować nastrój dyskretnego nostalgii. Trochę zaskakuje koncentracja — w zdecydowanej większości wypadków — na problematyce obrazu, troska o poprawność warsztatową, o uzyskanie ładnego efektu. Tak, to mogą być wartości, to na pewno były wartości...

Wystawa debreczyńska stwarza okazję do dyskusji nad celem twórczego działania, nad rolą artysty w dzisiejszym świecie.

IJK



Topor Andras: Dwoje ludzi

ramach „Dni” tego miasta, liczącego ok. 180 tys. mieszkańców i dwukrotnie w swej historii pełniącego rolę stolicy Węgier. Przeważa malarstwo pejzażowe i figuralne, autoryzowane przez artystów średniego i starszego pokolenia, a utrzymywane na ogół w konwencji postimpresjonistycznej. Młodzi prezentują figu-

falsetem

Horoskop

O TWIERAM „Panoramę” — horoskop. Czytam niedzielny „Kurier Szczeciński” — horoskop. Biorę do ręki inny dziennik, w którym upłynęło mi dziesięć lat w miarę pracowitego trywu — horoskop z usiadania ty-n horoskopów żyje chyba w naszym kraju spora gromadka obywateli!

A właściwie bardzo łatwo jest napisać horoskop. Ten numer „Kamieny” ukazuje się z datą i godziną. A więc ludzie urodzeni tego dnia powinni w najbliższym tygodniu strzcić się przepicia okazyje będą: Barbara i Barbarka, przebrzydzenia (jak wyżej)... Nie! Inaczej.

„Początek tygodnia zaczyna się dla ciebie pomyślnie. Uważaj jednak, abyś zbyt nie przesadził gotówką, bo to może przynieść smutne konsekwencje. Nie nadużywaj alkoholu. W połowie tygodnia zawrzesz interesującą znajomość, ale bądź ostrożny. Będziesz miał małe nieporozumienie z szefem, ale wszystko dobrze się skończy. Niech cię nie poniosą nerwy, bo stracisz wielką szansę. Kłopoty w domu ustają, ale wykaż dobrą wolę”.

Droży Czytelnicy, urodzeni 1 grudnia! Przeczytajcie uważnie powyższy tekst i napiszcie do nas: czy bardzo pomylił się? Czy ten horoskop nie pasował, jak ułat?

Ale teraz (nieco!) poważniej. Każdy z nas pamięta datę swego urodzenia. Ale ilu z nas wie, jaki to był dzień tygodnia, w którym po raz pierwszy zjawili się na tej najszczęśliwszej (i) z planet? Mało ważne! A wcale nie. Figa. Mam wielką niespodziankę i serdecznie radzę przewertować stare kalendarze (gdzie? w bibliotekach) i ów dzień ustalić.

Prawie trzysta lat temu, w 1683 r., ukazał się kalendarz krakowski M. Stanisława Słowakowicza (również wówczas byli tacy, którzy woleli swoje drugie imię niż pierwsze: Al. Leszek G. z „Kuriera” nie jest wyjątkiem!).

Słowakowicz (nie pierwszy zresztą) wykazuje, że każdym dniem rządzi inna planeta. I tak: niedziela — Słońce, poniedziałek — Księżyc, wtorek — Mars, środa — Merkury, czwartek — Jowisz, piątek — Wenus, sobota — Saturn.

SŁOŃCE (niedziela): człowiek poczciwy, szczodry, sławy pragnący, na urzędach będący i do nich dobrze sponowiony, jego myśli są głębokie i poważne, rady zdrowe i dobre, miewa się zwyciężać dobrze, ale nie lubi być sekretary, niektórzy z nich znajdują się nabożni powierzeni a w rzeczy samej są tylko hipokrytami pysznymi.

KSIĘŻYC (poniedziałek): człowiek lekki, ułotny, podziwiany, lekko-myślny, lubi bawić się kostkami, kartkami, często bywa na biesiadach, wiele śpi, mało robi.

MARS (wtorek): człowiek niesta- teczny, niewystydliwy, zjadliwy, pys- ny, zabijak, głupi, natręt, furia, lu- dziom nie wierzący, do wojny, do buntów i rozruchów pierwszy, mało ufający, siła piły, siła chce, a siła może.

MERKURY (środa): człowiek mądry, subtelny, do nauki sposobny, rach-

miś, matematyk, w dysputach subtelny, sławny wierzopis, malarz, młyn, do ziołnictwa, malarstwa, szmacerstwa, zęgarstwa, oar- dzo sposobny, naturę ma ciepłą.

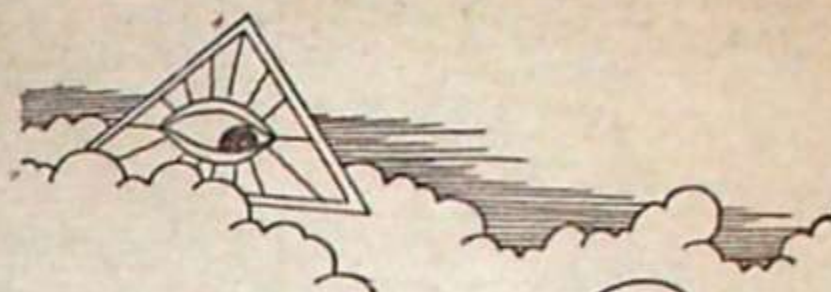
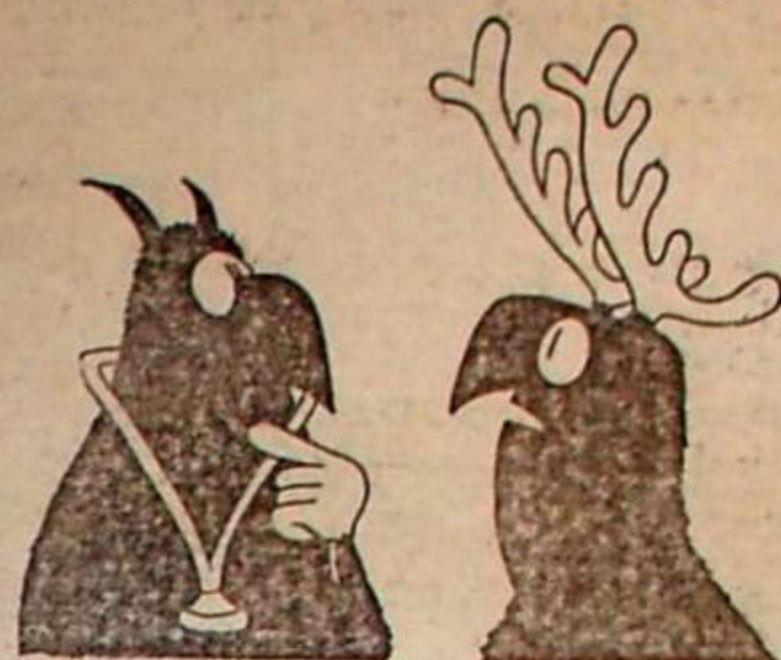
JOWISZ (czwartek): człowiek do- bry, pobożny, sprawiedliwy, poczci- wy, wierny, wesóły, przyjemny, dys- kretny, szczerzy, miłośnik, spo- kojny, przychylny, szczerzy, o przy- jazni się starający, mądry, w potra- wach i napojach brakujący, z przy- musu gniewliwy.

WENUS (piątek): człowiek wymo- wny, łagodny, rozstrony, szczerliwy, wesóły, wdzięczny, sprawiedliwy, w strojach, wonnościach i oświeceniach się kochający, więcej pije, aniżeli je, ale też gnuśny, ociężały i nie rad do nauki.

SATURN (sobota): człowiek o myślach głębokich, ma zdrowe rady, nie szybko się zakochuje, ale jak pocnie kochać — kocha bez miary, niezbyt gniewliwy, ale gniew długo trzymający, łakomy, cichy, skąpy, pieniędzy pod ziemię kryje.

Koniec. Czas na poście. Grudzień — to miesiąc ślubów. Panna młoda zanim powie sakramentalne „tak” powinna być tą pierwszą (pam młody również!), która zjawi się w bi- bliotece i wynajdzie ów dzień ty- godnia, w którym przyszedł na świat przysły małżonek (małżonka). Jeśli przekona się, że dniem jego (jej) urodzenia była środa, może truchli- kiem podać do Urzędu Stanu Cy- wilnego. Jeśli zaś okaże się, że... poniedziałek? Wtorek („mało może”)? Ja bym się bardzo, bardzo namyślał...

A swoją drogą nawet po niewcza- sie muszę sprawdzić!



MAJ

P. S. A polityce kadrowej powyż- szy horoskop nie przyda się? Pano- wie dyrektorzy, do dzieła!

minuta

myślenia

Piórko

JAKO czytelnik nie jestem amatorem monografii, kalendar- dów, kompendiów, zbiorów materiałów źródłowych, not archiwalnych itp. Nie tylko dlatego, że każdemu wolno mieć jakiś gust, więc korzystając z powyższego pre- zentuję niniejszym własny, ale dla- tego, że te opracowania podane na rynek publiczny gubią swój cha- rakter. Jako lektura nie zajmują uwagi szerokiego rzeszy czytelników, ponieważ są zbyt specjalistyczne, a dla użytku specjalistów nie wymaga- ją wejścia na rynek publiczny, po- nieważ wyczerpują swą rolę w wą- skim kręgu naukowym. Chyba że monografia wychodzi z pozycji gruntownych badań zyskuje pod pió- rem autora zaletę tekstu żywego, przepojonego refleksją i umiety- nością wydobycia „trzęcego wymia- ru” splaszczonych zapisem wyda- rzeń.

To ostatnie jest jednak zjawiskiem dość rzadkim i nie po nim obcy- wałem sobie satysfakcję z lektury szkicu monograficznego „Prasa lu- belska 1944-1974” Alojzego Leszka Gzelli. Sądziłem, że tekst poprowadzi mnie po obszarze spraw dawnych, z którymi miałem jakiś kontakt, da okazję do wspomnień. Przynajmniej w takim rozmiarze widziałem swą korzyść z lektury tej publikacji.

Niestety, korzyści się nie doczeka- łem. Mimo tak licznych odniesień źródłowych i mimo rozmiarów książ- ki, materiał w niej zawarty został potraktowany dość swobodnie, a często niefrasobliwie. Informacja na- siła się tam, gdzie autor sam ją zdo- był i wtedy prezentuje ją w szcze- gółach nawet dalekościowych, na- tomiast brak informacji w partiach innych nie stał się sygnałem do po-

szereżenia pola poszukiwań celem do- pełnienia obrazu i relacji przesuwa- sę czyniąc tematyczny unik. Zak- ładanie proporcji jest widoczne. Np. nie ma wzmianki o czasopiśmie „No- wa epoka” (podczas gdy jest — o jednoimienne „Kolej parcie”), nie ma dostatecznej informacji o „Zdro- ju”, o „Kulturze i Życiu” — dodat- ku do „Sztandaru Ludu”, który to dodatek wychodził przez lat 20, na- tomiast czytelnik „Prasy Lubelskiej 1944-1974” został zobligowany do przyjęcia wiadomości o tym, że „obecnie w redakcji „Sztandaru Lu- du” pracuje 43 dziennikarzy oraz dwu stażystów”. Czy nie się nie zmieniło już w momencie oddania książki do druku?

Trafiają się również błędy rzeczo- we. Nie wymienię wszystkich, po- nieważ do tekstu nie ustosunkowa- łem się analitycznie, ale nie wystą- wia do dobrego świadectwa źródłowe- mu opracowaniu. Jeśli tyle rozmi- nięć z rzeczywistością da się stwier- dzić w trakcie nawet pobieżnej lek- tury. Idźmy zgodnie z paginacją:

Str. 70. Jest mowa o tym, że dnia 8 października 1944 r. odbył się w Lublinie Zlot Młodzieży Socjalistycz- nej, na którym przemawiał m. in. kpt. Ryszard Matuszewski. Oczywiście chodzi tu nie o początkującego wówczas krytyka literackiego, Ry- szarda Matuszewskiego, który z pewnością był cywilem, a stopnia kapitańskiego ewentualnie później dosłużył się w rezerwie, ale o kpt. Stefana Matuszewskiego, kierownika Resortu Informacji i Propagandy PKWN.

Str. 76 „Stanowisko wobec nowej rzeczywistości redakcja „Odrodze- nia” formułowała poniekąd w wypo- wiedzi Heleny Boguszczyńskiej i Je- rzego Kornackiego, zamieszczonej w 2 numerze tygodnika”. Boguszc- zewska i Kornacki byli bardzo luźnymi współpracownikami pisma. Nie oni sformułowali jego „linię redakcyjną”.

Str. 131. Mówi się o tym, że do- datek do „Sztandaru Ludu” został nazwany „Tygodnikiem literackim”, a w winiecie tytułowej podkreślono jego związek z „Kamienią”. W rzeczy- wiściści dodatek nazywał się „Ty- dzień literacki”, a jego związek z „Kamienią” podkreślono wyłącznie w pierwszych trzech numerach na ogólną ilość 89. Na tej samej stronie jest wiadomość, że „Kultura i Ży- ciem” początkowo kierował K. A. Jaworski, następnie do 1972 r. — Zygmunt Mikulski. Wiadomość błęd-

na. Kiedy dodatek „Kultura i Życie” zaczął wychodzić, K. A. Jaworski nie był już pracownikiem „Sztandaru Ludu”. Pierwszym kierownikiem do- datku był Tadeusz Gwardak, nastep- nym Wiera Korneluk, a Zygmunt Mikulski dopiero trzecim.

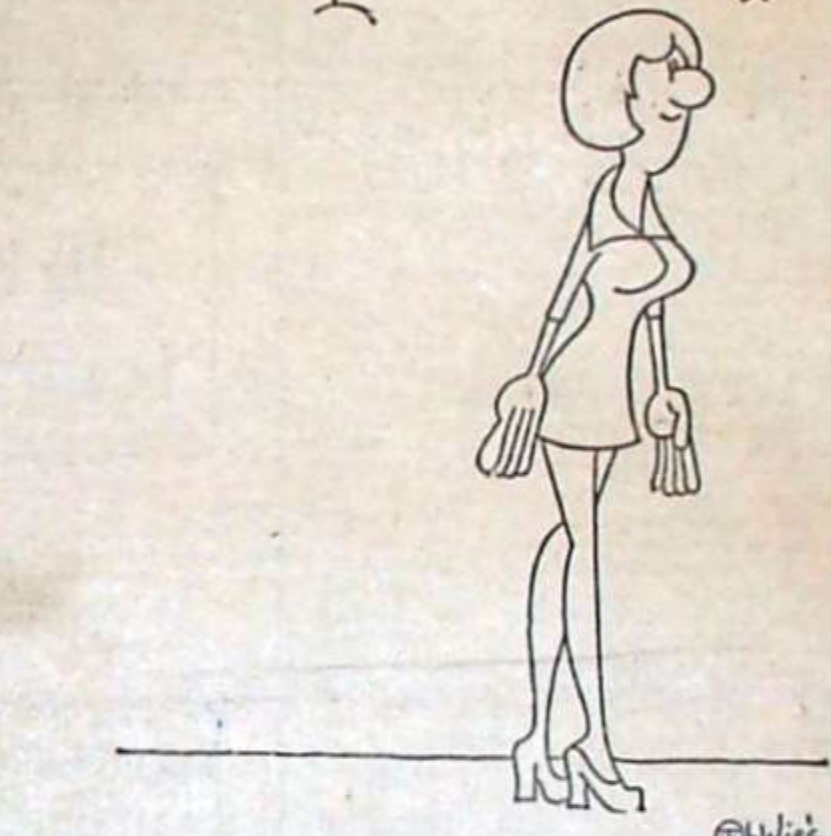
Str. 132. „Bywały okresy, kiedy „Sztandar Ludu” utrzymywał stałe kontakty z ponad 100 społecznymi korespondentami terenowymi”. Mate- matycznie — prawda. Wszelako war- to zauważyć w tymże dzienniku z dnia 13 marca 1950 roku artykuł za- tytułowany „300 korespondentów „Sztandaru Ludu” wiąże gazetę z masami pracującymi”.

Str. 135. Mowa o „Gazecie Lubel- skiej” (II): „Do 18 czerwca 1946 r. redakcją kierował Hipolit Bolesław- ski, następnie na krótko pismo prze- jął Leopold Beck, a po nim od grudnia 1946 do 27 marca 1947 r. redaktorem naczelnym był dr Sta- nisław Papierkowski”. A gdzie? Wi- tołd Giełżyński, pierwszy naczelny „Gazety Lubelskiej” (II), który z pewnością nie był duchem, skoro u- dało się swego czasu podpisać umo- wę o pracę.

Więcej nie przytaczam. Jeśli kto sądzi, że są to szczegóły nie pierw- szorzędnego znaczenia, mógłbym się zgodzić, gdyby książka została za- mierzona jako gawęda. Gdyby miała cel inny niż relacja faktów. Tym- czasem nie wszystkie fakty są zgod- ne z rzeczywistością, a ich dobór nie mówi niczego o przyjętej zasa- dzie obrazu pomyślanego choćby ja- ko tableau. Także nie służą książce stylizacyjne zwroty w rodzaju: „oś- miostronicowy tygodnik przynosił wiele atrakcyjnych materiałów, spo- ro dobrego dowcipu i ciętej satyry, która ostatecznie okazała się dlań zgubną bronią”. Wiemy jak to było ze „Stańczykiem” ale gdybyśmy tę wiedzę chcieli przejąć od autora szkicu o lubelskiej prasie, musieli- byśmy dojść do przekonania, że zguba dla satyrycznego pisma jest właśnie cięta satyra. Albo: „Cały zresztą wstęp utrzymany był w sty- lu archaizowanego nieśmiałostwa”. Albo: „Władze wojewódzkie docenia- ły rolę gazet w oddziaływaniu na opinię społeczną i w ważnych chwila- ch dziejowych starały się pomóc prasie w uzyskiwaniu papieru i uła- twianiu druku”.

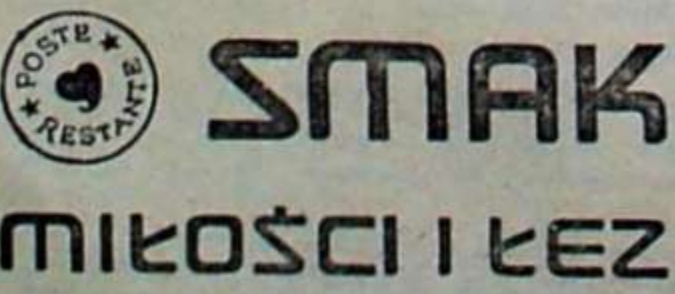
Koniec cytatów.

Ijon



Rys. W. Fuglewicz

MARTINA WSZYTKOWA



W nowym mieszkaniu Mariusz poznaje Irenę, córkę gospodyni. Dziewczyna mu imponuje. Jej zwierzenia po- wodują, że i Mariusz opowiada o swoim dotychczasowym życiu. A oto dalszy ciąg naszej powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante”

— Mogę cię odwiedzić w twojej nowej chacie? — spy- tała Basia Mariusza, kiedy spotkali się po kilku dniach. Mariusz zadowolony się. Zauważyła jego wahanie. — No powiedz, mogę? — nalegała. — Jasne, że tak — powiedział wrzeszcząc — ale mam to pokój straszny bałagan. — To nie, ja ci pomogę się urządzić.

— Nie wiem jednak, Basiu — zaczął się jąkać — czy moja gospodyni będzie z tego zadowolona. Wiesz, ona jest wdowa... — I co? Przygruchala sobie ciebie młoda wdówka? — Jak możesz? Ta pani ma już swoje lata! — Sama mieszka? Mariuszu, co z tobą? Ty zaczynasz kręcić! — Mariusz rzeczywiście nie wiedział, jak się zachować. Wprawdzie ze wszystkich zwierzył się Irenie, ale mimo to nie chciał, aby oile dziewczyny się poznały. Miał już smutne doświadczenia z Barbarą i Zuzanną. Wprawdzie nadal nie go z Ireną nie kochało, ale czuł, że nie jest mu zupełnie obojętna. — Nie sama. Z córką — rzucił jednym tchem. — O! To zaczyna być ciekawe. Bardzo ciekawe. A ile ta córeczka ma lat? Jak mamusia taka letnia, to chyba nie jest niemowlakiem. A może najgłupsze się w charakte- rze ma? — Przestań. Już studiuję. — I pan Mariusz zakochał się od pierwszego wejrzenia? — ironizowała. — Basiu, powiedz, dlaczego ty taka jesteś? — A co? Nie mogę być o ciebie zazdrosna? Zwykła, ko- bleca zażłość. Powinieneś czuć się zazdrosny. — Mariusz już miał dość tych zazdrości. Basia, Zuzia i te- roz ta trzecia. „Gdzie dwóch się bije — tam trzeci ko- rzysta” — pomyślał i coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jego ustach. Basia nie chciała przeciągać struny. — No, dobrze już, dobrze. Zartowałam...

Wieczorem Irena powiedziała do niego: — Jesteśmy dzisiaj sami na gospodarce. — Jak to sami? — zdziwił się Mariusz. — Sami. Mama dostała telegram, że ciocia miała atak serca.

— I co? — Nic. Wsiadła w pociąg i pojechała do Poznania. Ka- zata nam się dobrze sprzątać. Wobec tego... kupiam butelkę wina. Prądnictwo, z winogron. Napijesz się? — Chętnie, ale ja ci zaraz pieniądza. Bo niby z ja- kiej racji ty masz stać? — Daj spokój. Zdażysz się zrewanżować. Poczekaj, na- stawiam magnetofon. Zatańczysz? — Przytuła się do niego całym ciałem. — Słuchaj, tańczysz — powiedział. — Cicho! Nie mów. Tak jest dobrze. — Wino było lekko ciepłe, ale jednocześnie i mocne. Ste- dzieli na tapczanie i Mariusz usiłował pocałować Irenę w usta. Odepchnęła go lekko, ale stanowczo. — Nie bądź taki szybki! Bill! Pozwól kurzę grędy, ona zechce uszydzić! — Uśmiechnęła się. Widzę, że pra- gnieś zapisać następną na swoim koncie. Ale ze mną tak łatwo ci nie pójdzie. Mam swoje zasady. — To znaczy? — Musnęła go ustami po twarzy. — To znaczy, że nie śpiam z mężczyznami. Powiedzia- łem ci prosto z mostu. — Przecież ja nie jestem mężczyzną... — A co? Baga? To może kogoś opłotkujemy. Na, kiedy nie mamy wspólnych znajomych... Choć... Wiesz co? Ta twoja Basia ma telefon? — Ma — powiedział niepewnie. — To zadzwoni do niej i zaprosi ją tutaj. — I tak będziemy siedzieć we trojke? — A co za różnica? Może ta twoja Basia będzie bar- dziej uległa ode mnie. — Mariusz patrzył na Irenę rozszarżonymi oczyma. „Kpa- ze mnie, czy co? Podobna historia nigdy mu się jeszcze- to życia nie zdarzyła. — No, drzeń! — nalegała.

(den)